Nr 23
15. XII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 12 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



Łebacy — ubodzy poszukiwacze nafty z okolic Krosna (do artykułu na str. 6).

DZISIEJSZY NUMER POŚWIĘCONY KSIĄŻCE I WYDAWNICTWOM W POLSCE POWOJENNEJ

PARLAMENT ŚWIATA OBRADUJE

Upłynął już miesiąc od chwili uroczystego otwarcia ogólnego zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych i od uroczystego powitania delegatów przez prezydenta Trumana, który zebranym przypomniał cztery wolności Roosevelta, podkreślając, że naród amerykański wita u siebie z zapałem przedstawicieli innych narodów miłujących pokój. Na ulicach Nowego Jorku miliony ludzi witały oklaskami i okrzykami przeciągający korowód stu otwartych aut, a przewodniczący zgromadzenia minister belgijski Spaak oświadczył w swym inauguracyjnym przemówieniu pod adresem Amerykanów:

„Przybywamy, aby prosić was o pomoc w zdobyciu pokoju, skoro pomogliście wygrać wojnę."

W tym oświadczeniu tkwi ogólna charakterystyka porządku dziennego zgromadzenia: praca nad ustaleniem i utrwaleniem powszechnego pokoju.

ATMOSFERA ZAUFANIA

Większość delegatów przybyła do Nowego Jorku bezpośrednio z konferencji pokojowej w Paryżu, na której panowała atmosfera nieufności i podejrzeń, a o wiele punktów poszczególnych traktatów toczyły się nieraz burzliwe spory.

Przeciwnie, zgromadzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych rozpoczęło swe obrady w nastroju wzajemnego zaufania i zrozumienia. Być może, że przyczyniło się do tego tło dekoracyjne potężnej metropolii nowojorskiej, tętniącej pracą i życiem, witającej z takim żywiołowym entuzjazmem przybyłych delegatów, do jakiego zdolne są wielkie dzieci amerykańskie. A potem... Przecież Nowy Jork tak bardzo oddalony jest od ponurych pobojowisk europejskich i od całej tej szachownicy narodów europejskich skłóconych i zwaśnionych i podzielonych na zwycięzców i zwyciężonych.

Jeśli delegaci przybyli na zgromadzenie ONZ w dużym napięciu nerwów, z jakim pracowali w ostatnich dniach konferencji paryskiej niemal bez wytchnienia, to po mowie prez. Trumana nastąpiło odprężenie. Prezydent podkreślił bowiem z naciskiem, że obawy przed trzecią wojną światową są niczym nie usprawiedliwione. Narody poznały dostatecznie potworność wojny i jej bezcelowość, aby cały wysiłek skierować ku utrwaleniu pokoju.

Pierwszym, który serdecznie winszował prez. Trumanowi po jego przemówieniu był komisarz Mołotow, co zrozumiane zostało jako pewnego rodzaju symbol zbliżenia między dwoma superpotęgami światowymi, reprezentującymi dwie odrębne ideologie. I ten szczegół również przyczynił się do ogólnego odprężenia.

VETO

Z całej powodzi spraw, jakie umieszczone zostały na porządku dziennym, na pierwszy plan wysunęło się — zagadnienie czysto proceduralne, zagadnienie veta w najważniejszym organie ONZ, jakim jest Rada Bezpieczeństwa. Delegacje mocarstw podkreślają, że zagadnienie veta rozważać należy na płaszczyźnie, nie demokracji, lecz jedności i jednomyślności mocarstw. Procedura dawnej Ligi Narodów wymagała zupełnej jednomyślności wszystkich delegatów. Gdy groziła fronda, toczyły się za kulisami tak długie targi, aż krnąbrnego członka nawrócono i uzyskano jego głos.

W Radzie Bezpieczeństwa ONZ procedura jest zgoła różna. Wychodząc z założenia, że jest to najważniejszy organ ONZ, powołany do czuwania nad pokojem i bezpieczeństwem świata, ustalono, że każdy wniosek wymaga do uchwalenia co najmniej 7 głosów z ogólnej liczby 12-stu, ale w tych 7-dmiu muszą się mieścić głosy wszystkich 5-ciu mocarstw, gdyż od ich woli jedynie zależy utrzymanie pokoju i bezpieczeństwa. Ten punkt wymaga oczywiście zupełnej jedności poglądów i jednomyślności Wielkiej Piątki. Veto jednego z mocarstw zmusza do rewizji zagadnienia i do szukania takiego kompromisu, który skupiłby w sobie głosy wszystkich pięciu mocarstw, plus co najmniej dwóch innych członków Rady Bezpieczeństwa. W zasadzie prawo veta ma przeszkodzić w tworzeniu się większości przypadkowych.

Ten punkt widzenia podzielają delegacje wszystkich pięciu mocarstw, wobec czego atak na prawo veta załamał się. Nie jest natomiast wykluczone ograniczenie korzystania z prawa veta do pewnych tylko spraw.

UJAWNIENIE SIŁ ZBROJNYCH NA OBCYCH TERYTORIACH I ROZBROJENIE

Spośród innych ważnych spraw, jakie wypłynęły w toku obrad ogólnego zgromadzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych, nad dwiema toczy się w tej chwili ożywiona dyskusja. Obie wysunięte zostały przez delegata Związku Radzieckiego. Jedną jest sprawa ujawnienia sił zbrojnych wielkich mocarstw w krajach sojuszniczych, drugą wniosek o powszechnym rozbrojeniu. Zagadnienia o kapitalnym znaczeniu dla utrwalenia pokoju wywołały dużą sensację. Pierwszy wniosek uzupełniony został przez delegację amerykańską poprawką, by ujawnienie sił zbrojnych odnosiło się nie tylko do krajów sojuszniczych, ale również do byłych nieprzyjacielskich. Po postawieniu przez komisarza Mołotowa drugiego wniosku, w sprawie powszechnego rozbrojenia, delegacje anglosaskie zgłosiły również poprawkę, wymagającą ujawnienia stanu sił zbrojnych we własnym kraju. Ponieważ zaś oba wnioski po przyjęciu poprawek anglosaskich stały się sobie bardzo bliskie, minister Bevin zażądał ich łącznego rozpatrywania.

W atmosferze dużego spokoju, w jakiej obraduje zgromadzenie, wniosek sowiecki nie wywołał sprzeciwów.

Nie należy bynajmniej sądzić, że uchwalenie obu wniosków, łącznie, czy osobno odbędzie się składnie i szybko. Upłynie wiele czasu i wiele mów i dopowiedzi zostanie wygłoszonych, zanim wnioski przejdą przez wszystkie sita proceduralne. Niemniej stwierdzić należy, że sam fakt ich wniesienia, szczególnie wniosku w sprawie rozbrojenia, w krótkim okresie dzielącym nas od wojny światowej, iż na świecie dokonuje się, albo już się dokonało rozbrojenie moralne, które umożliwi rozbrojenie faktyczne narodów. Olbrzymie sumy zostaną zwolnione z budżetów wojskowych i przeznaczone na odbudowę materialnych i kulturalnych dóbr ludzkości.

Nie sposób w ramach jednego artykułu pomieścić wszystkie zagadnienia, jakie znalazły się na stołach prac licznych komisji ONZ i zaopatrzyć je odpowiednim komentarzem. A przecież zagadnienia kontynuowania pomocy UNRRA dla krajów zniszczonych i opieka nad rzeszami uchodźców i deportowanych są nie mniej ważne od zagadnień politycznych.

SPRAWA NIEMIEC JESZCZE NA BOCZNYM TORZE

Równolegle z obradami Organizacji Narodów Zjednoczonych posuwają się naprzód prace Rady Ministrów Spraw Zagranicznych czterech mocarstw nad ustaleniem ostatecznych tekstów traktatów z pięciu satelitami Niemiec, uchwalonych na konferencji pokojowej w Paryżu. Rada osiągnęła porozumienie we wszystkich spornych punktach, nawet w sprawie Triestu. Odbyły się już nawet wstępne rozmowy w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami, okazuje się jednak, że ten problem pozostanie jeszcze przez pewien czas na bocznym torze. W każdym razie po zakończeniu obrad ONZ, opracowana zostanie przez Radę Ministrów Spraw Zagranicznych czterech mocarstw procedura obrad nad traktatem pokojowym z Niemcami i ustalenie wszystkich spraw, które będą przedmiotem obrad. Amerykański sekretarz stanu Byrnes domaga się przede wszystkim ustalenia nowych granic Niemiec i ten punkt wywoła niechybnie gorącą dyskusję nad prawomocnością uchwał poczdamskich. Autorytatywne oświadczenie komisarza Mołotowa po stuttgarckiej mowie Byrnesa w sprawie zachodnich granic Polski i stanowcze oświadczenie generalissimusa Stalina w analogicznej sprawie w wywiadzie dla United Press decydują z góry o stanowisku Związku Radzieckiego. Niemniej przyjąć należy z dużym uznaniem przewidującą akcję dyplomatyczną, jaką w toku obrad nowojorskich rozwinął minister spraw zagranicznych Polski Rzymowski. Nie poprzestając na nocie, wystosowanej do rządów czterech mocarstw, min. Rzymowski złożył osobiste wizyty ich kierownikom polityki zagranicznej przebywającym w Nowym Jorku i uzyskał zapewnienie, że delegacja polska dopuszczona zostanie do wstępnych obrad nad traktatem pokojowym z Niemcami. Podobną akcję wszczął czechosłowacki minister spraw zagranicznych Masaryk. Być może, że dopuszczenie do obrad wstępnych delegacji polskiej stanowić będzie precedens i w rezultacie powołane zostaną w charakterze konsultatywnym delegacje wszystkich krajów, graniczących z Niemcami, zatem również Belgii, Holandii i Luksemburga. Gdyby postulat ten został przyjęty, nie jest wykluczone uprzednie porozumienie wszystkich tych krajów, celem ustalenia wspólnej taktyki postępowania. Porozumienie takie byłoby ze wszech miar celowe, pozwoliłoby bowiem z góry usunąć rozbieżność interesów i ze sprawy partykularnej każdego z tych krajów uczyniłoby jedną wspólną sprawę narodów stale przez Niemcy zagrożonych.

Aleksander Then



Społem panowie...

Niemcom lepiej niż Polakom

W Niemczech bawiła delegacja Kongresu Polonii Amerykańskiej. Delegacja zwiedziła liczne obozy wysiedleńców polskich w Niemczech i stwierdziła, że los ich jest bardzo ciężki, choć jednocześnie W. Brytania i Stany Zjednoczone wydają ogromne sumy na odżywianie ludności niemieckiej.

Jest to sytuacja paradoksalna. Dzięki nieodpowiedzialnej propagandzie, masy Polaków (około 400.000) wolą znosić biedę i niedostatek w obozach niemieckich, aniżeli żyć życiem wolnych obywateli w Polsce, w której czeka ich praca i chleb. Odpowiedzialni mężowie stanu demokracyj zachodnich wyrażają obawy, czy Polska zdoła zaludnić i zagospodarować Ziemie Odzyskane, a jednocześnie nie przeciwdziałają propagandzie ze strony b. rządu emigracyjnego w Londynie przeciw powrotowi mas wysiedleńców do Polski.

Ostatnio sytuacja uległa o tyle pewnej zmianie, że wysiedleńcy sami widzą beznadziejność swego położenia i coraz liczniej zgłaszają się do powrotu do kraju.

Również uchodźcy polscy i byli żołnierze w Anglii zostali ostatnio zachęceni do powrotu do Polski przez kongres angielskich związków zawodowych, który odbywał się przy udziale najwyższych czynników rządowych w Brighton. Kongres wystąpił zdecydowanie przeciw zatrudnieniu Polaków w różnych działach produkcji w Anglii. W czasie burzliwych obrad nad tym punktem porządku dziennego padły pod adresem żołnierzy polskich, którzy tak chlubny udział wzięli w obronie Anglii i na licznych polach bitew takie epitety, że powinny każdego Polaka odstraszyć od pozostawania w Anglii i zachęcić go do powrotu do Polski.

DZIEŃ SĄDU DLA ZBRODNIARZY NIEMIECKICH

17 grudnia rozpocznie się proces Fischera, gubernatora dystryktu warszawskiego. Współpracownik „Tygodnia" red. Marek Sadzewicz przeprowadził rozmowę z prokuratorami Najwyższego Trybunału Narodowego Tadeuszem Cyprianem i Jerzym Sawickim oraz z szefem Polskiej Misji do Spraw Zbrodni Wojennych — płk. Marianem Muszkatem na temat postępowania aparatu sprawiedliwości w wyławianiu zbrodniarzy hitlerowskich.

Red. — W jaki sposób Fischer dostał się do rąk polskich?

Prok. Sawicki: Na to pytanie odpowie płk. Muszkat. Ja natomiast pragnę podkreślić, że kwestia wyłapywania przestępców hitlerowskich i dostarczania ich na miejsce zbrodni nie jest sprawą łatwą, jakby się mogło zdawać. W chwili załamania się Niemiec, większość niemieckich przestępców wojennych uciekła z Polski na zachodnie terytoria Rzeszy, znajdujące się pod okupacją anglosaską, zwłaszcza amerykańską. Ludzie ci zrzucili mundury, zniszczyli dokumenty i wmieszali się w tłumy, przewalające się po wszystkich strefach okupacyjnych w Niemczech. Śmiało rzec można, że trafili na idealne warunki do ukrywania się. Niemcy należą do krajów, które uległy olbrzymiemu przetasowaniu terytorialnemu ludności. Dodajmy do tego zniszczenie archiwów, spisów mieszkańców i biur policyjnych w wielu miastach. Dodajmy wreszcie pomoc, okazywaną ukrywającym się mordercom ze strony rodaków...

Red.: — Istnieje przecież międzynarodowa organizacja w ich ściganiu?

Prok. Sawicki: — Tak. I temu należy zawdzięczać skuteczność ścigania. Organizacja ta — Międzynarodowa Komisja Zbrodni Wojennych — powstała wcześnie — jeszcze w pełni wojny, bo w dniu 7 października 1942 roku na podstawie deklaracji prezydenta Roosevelta i lorda kanclerza Simona. Od tej chwili rozpoczęła się metodyczna praca, zarówno w zakresie ustalania, kto jest przestępcą wojennym, jak rejestracji czynów przestępczych, jak również normowania zasad prawnych, na których podstawie odbywa się wydawanie i sądzenie przestępców. Do Komisji weszło 16 narodów. Przewodniczącym był sir Cecil Hurst, wybitny prawnik angielski, jeden z tych, którzy redagowali traktat wersalski, a obecnie lord Wright. Materiał do aktualnych procesów przygotowywano już tedy podczas wojny.

Prok. Cyprian: — Warto podkreślić, że współpraca Polski, jako jednego z najbardziej zainteresowanych państw datuje się od początku prac Komisji. W czasie, kiedy w Polsce srożyła się jeszcze okupacja, zbrodnicze jej praktyki były już przedmiotem rejestracji dla celów sprawiedliwości, w której ostateczny triumf wierzyliśmy niezachwianie. Materiał dowodowy przeciwko poszczególnym zbrodniarzom nadchodził do Komisji w drodze konspiracyjnych kontaktów między władzami podziemnymi kraju a Londynem. Polska jest krajem, który wniósł pierwsze oskarżenia, stwarzając wzór skargi, oraz wzór procedury postępowania.

Red.: — Jak obecnie odbywa się ta procedura?

Prok. Cyprian: — Komisja Zbrodni ma szereg komitetów. Jednym z najważniejszych jest Komitet I pod przewodnictwem sędziego belgijskiego gen. de Beera. Zadaniem tego Komitetu jest badanie oskarżeń wnoszonych przez poszczególne narody, i wpisywanie oskarżonych na listę przestępców wojennych. Listy te służą jako podstawa do wydania danego przestępcy krajowi pokrzywdzonemu przez kraj, który przestępcę ma w swym ręku.

Red.: — Jak się ta praktyka odbywa?

Prok. Sawicki: — Angielskie i amerykańskie władze policyjne dokonywują systematycznego przesiewania mas tułających się wysiedleńców. Przy tej okazji wpadają w sieci gestapowcy i SS-mani, przy czym pomaga nieopatrzny a rozpowszechniony w oddziałach SS zwyczaj tatuowania sobie orzełka hitlerowskiego. Znak ten niełatwo da się usunąć. Anglicy i Amerykanie zużytkowali dawne hitlerowskie obozy koncentracyjne w Niemczech i zaczęli tam lokować wszystkich podejrzanych „uchodźców", prowadząc jednocześnie dochodzenia identyfikacyjne. Obozy zapełniały się szybko, tak, że wiosną 1946 roku liczyły w obu strefach — amerykańskiej i angielskiej — około 200 tys. mieszkańców. Zwolna tylko daje się ustalić, że jeden lub drugi szeregowiec SS czy gestapo — to pułkownik albo major, mający na sumieniu poważne obciążenia. Pomaga w tym wywiad na terenie obozu, wzajemne zatargi prowadzące do doniesień, rozpoznawanie przez misje wojskowe krajów alianckich, dochodzenia prowadzone przez władze śledcze, wreszcie przypadek. W takim np. Dachau (tak, w Dachau — zmienne są koleje losu) oglądałem z dużą satysfakcją ok. 22 tysięcy SS-manów i gestapowców ulokowanych za drutami i czekających na to, by się nimi zaopiekowały sądy zainteresowanych narodów.



Matthias Erzberger działacz socjalistyczny przedstawiciel Niemiec na konferencji wersalskiej, zamordowany został w 1921 r. obecnie udało się wykryć mordercę jego, którym okazał się hitlerowiec kpt. Tillesen.

Red.: — Okazuje się, że sprawy napozór proste nie są proste. Przy oczywistości i masowości zbrodni niemieckich trafienie na fizyczne osoby sprawców...

Prok. Cyprian: — ...to sprawa skomplikowana. Niech pan weźmie chociażby najprostszy przypadek zbrodni popełnionych jawnie przez SS-manów w obozach koncentracyjnych. Osoba zbrodniarza była znana i to dobrze — setkom i tysiącom ofiar. Część tylko spośród więźniów doczekała się możności dania świadectwa przed sądem ludzkim. A i ci rozpierzchli się po świecie, skoro zerwano druty kolczaste. Zbrodniarze zbiegli wcześniej, zanim nastąpił moment krytyczny. Konfrontacja sprawcy z jego ofiarami, codzienna w życiu obozowym, dziś nie przedstawia się łatwo. W większości wypadków materiał dowodowy nie jest kompletny, właśnie gdy idzie o zbrodnie, w których brała udział większa liczba przestępców. Nie jest łatwo ustalić, kto dał polecenie łapanek, kto decydował o losie ludzi na Pawiaku, czy na Montelupich. Przewijają się wprawdzie poszczególne nazwiska, ale albo są niekompletne (brak imienia, stopnia, przydziału służbowego itd.) albo powiązanie ich z zarzutami nie jest dość ścisłe dla konstrukcji oskarżenia. Sądzimy przestępców, którzy podeptali wszelkie prawo ludzkie. Sądzimy ich według praw narodów cywilizowanych, według praw, których samo pojęcie było skazane przez hitleryzm na zagładę. Według tych naszych europejskich praw nie wystarczy domniemanie winy. Wina musi być udowodniona. Żeby wymogom prawa stało się zadość, trzeba wiele żmudnych dochodzeń śledczych i precyzyjnej pracy prawników.

Red.: — Czy te prace śledcze są gdzieś zcentralizowane?

Prok. Cyprian: — W Berlinie znajduje się Międzynarodowy Rejestr Przestępców Wojennych oraz osób podejrzanych o popełnienie przestępstw wojennych, tzw. Crowcass. Poza tym poszczególne kraje mają własne kartoteki, oraz gromadzą dokumenty, zeznania świadków itd. Każdy z 16-tu narodów ma swego delegata w Komisji, który wnosi oskarżenie na wzmiankowany już Komitet I. Z kolei Komitet I składa na plenum Komisji gotową listę przestępców. Następnie lista zostaje przesłana rządom państw zainteresowanych oraz władzom okupacyjnym na terenie Niemiec. Tutaj działają Misje Wojskowe do Spraw Przestępców Wojennych. Polska posiada również swoją misję, na której czele stoi obecny tutaj płk. Muszkat.

Płk. Muszkat: — Polska Misja Wojskowa posiada trzy oddziały w trzech zonach okupacyjnych Niemiec. W ciągu półrocza istnienia nasza Misja przejrzała 12.000 kart ewidencyjnych przestępców wojennych, złożyła wnioski o ekstradycję ponad 1.200-tu przestępców, których wyszukała na terenie trzech zon okupacyjnych. Misja spowodowała dotychczas przewiezienie do Polski około 300 zbrodniarzy.

Red.: — Czy p. pułkownik może wymienić nazwiska bardziej wybitnych?

Płk. Muszkat: — Do wybitniejszych przestępców przywiezionych do Polski należą m. in.: Greiser, Fischer, Leist, Bibow, płk. Damne, Forster, gen. Hildebrandt (zwany „der Schlechter aus Warschau"), sprawca krwawej niedzieli bydgoskiej, gen. Gudewil, kat z Płoszowa — Amon Gett, wreszcie rzeczoznawca rządu Rzeszy do Spraw Polski **gen. Strickner, ten, który usiłował bezskutecznie stworzyć „quislingowski" rząd polski, starając się pozyskać dla tej koncepcji Radziwiłła, Sanguszkę, Lubomirskiego oraz prof. Studnickiego.** Tenże Strickner równie bezskutecznie starał się zorganizować Legion Polski po stronie niemieckiej. Misja przekazała poza tym do kraju głównych przestępców jednego z najokrutniejszych obozów w Geisenheim. Szczególną uwagę poświęcamy obecnie wydostaniu **całej załogi oświęcimskiej, której proces już na wiosnę odbędzie się w Krakowie.** Na ławie oskarżonych zasiądzie około 300-tu przestępców, na czele z Liebehenschlem, jednym z kolejnych komendantów Oświęcimia. Wśród oskarżonych znajduje się również wymieniona w książce Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau" słynna z urody Maria Mandl, przebywająca już w Mokotowie. Była ona w swoim czasie asem sportu i lotnictwa niemieckiego i przywódczynią Hitlermaedel. Zrezygnowała z tych stanowisk dla sadystycznego wyżycia się w Birkenau.

Red.: — Czy praca Misji natrafia na trudności?

Płk. Muszkat: — Praca Misji napotyka na trudności z dwóch względów. Jedno — **że świadkowie w Niemczech obawiają się składać zeznania przeciw zbrodniarzom hitlerowskim z powodu grożących im represji.** Misja nasza musiała np. interweniować w wypadku, kiedy burmistrz jednego z miasteczek pozbawił świadka kartek żywnościowych, wysiedlił go z mieszkania i nałożył sekwestr na ruchomości. Była to represja za zeznania, złożone przeciw SS-manowi, który „zrehabilitował się" przed niemieckim trybunałem denazifikacyjnym i wszedł w skład zarządu miasta. Druga przeszkoda, to praktyka Międzynarodowej Komisji Zbrodni Wojennych w Londynie i Międzynarodowego Rejestru Przestępców Wojennych, polegająca na odmawianiu ekstradycji zbrodniarzy, którzy jednocześnie oskarżeni są o zdradę narodu niemieckiego. Tych ostatnich traktuje się jako przestępców politycznych, uniemożliwiając w ten sposób osądzenie ich przez trybunały zainteresowanych narodów. Miejmy nadzieję, że władze alianckie, przekonane niedostatecznymi rezultatami akcji denazifikacyjnej w Niemczech, zmienią swoje postępowanie.

Red.: — Wracając do pierwszego pytania: do Fischera...

Płk. Muszkat: — Fischer ukrywał się w zonie amerykańskiej jako osoba cywilna. Został przypadkiem rozpoznany przez polskich uchodźców i aresztowany. Nasi uchodźcy przyczynili się do zdemaskowania licznych, ukrywających się zbrodniarzy. Lokale Polskiej Misji Wojskowej bywają wprost oblegane przez ludzi, pragnących wzkazać dawnych oprawców, którzy obecnie ukrywają się, bądź nawet zajmują oficjalne stanowiska w Niemczech.

Prok. Sawicki: — Na tej żmudnej i najeżonej przeciwnościami drodze zdołaliśmy jednak uzyskać już szereg „asów" zbrodni hitlerowskich i w stosunku do nich sprawiedliwości stanie się zadość.



Ostatnio przez Dziedzice przybył transport 156 zbrodniarzy hitlerowskich, wydanych Polsce przez władze amerykańskie. Na pierwszym planie b. gen. policji gdańskiej von Stein. (fot. Makarewiczowa)



Gauleiter Fischer oddawna już odpoczywa w więzieniu Mokotowskim oczekując na rozprawe, która rozpocznie się w dniach najbliższych. (fot. J. Baranowski)



Albert Förster ex-gauleiter prowincji Danzig — Westpreussen.



B. gauleiter Friedrich Hildebrandt zwany „der Schlechter aus Warschau".

WIADOMOŚCI SPORTOWE

Drużynowe mistrzostwa szermiercze Polski, które miały się odbyć w Łodzi zakończyły się wielkim fiaskiem. Do Łodzi miały przyjechać, by stanąć do walki na planszy, kluby z Krakowa i Katowic. Łódź natomiast reprezentowana była przez doskonały zespół ZZK. Niestety drużyny zamiejscowe nie przyjechały i zawody nie odbyły się. Nie można nad tym faktem przejść do porządku dziennego, bo młody sport szermierczy w powojennym okresie nie powinien pozwalać sobie na tak niepoważne załatwianie spraw organizacyjnych. Jeżeli szermierze nasi mieli jakieś wątpliwości, że Sokół z Krakowa czy Pogoń z Katowic nie przyjadą, to na wszelki wypadek trzeba było przewidując tę okoliczność zorganizować w ramach „mistrzostw" zawody propagandowe. Uniknęlibyśmy wielkiej kompromitacji organizacyjnej. Przedewszystkim chodzi o moment propagandowy tej gałęzi sportu. Szermierze narzekają, że na imprezy przez nich organizowane nikt nie przychodzi. Tym razem sala YMCA zapełniona była po brzegi, a kolejarze łódzcy jako organizatorzy przygotowali liczne nagrody i pomyśleli o najdrobniejszych poczynaniach technicznych. Najciekawszą jest rzeczą, że te niedoszłe mistrzostwa drużynowe Polski miały być przeglądem najlepszych zawodników naszych przed mającym się odbyć, w czasie świątecznego okresu, meczem międzypaństwowym Polska — Czechosłowacja w Zakopanem. Koniec końców szermierze nasi staną w Zakopanem na planszy bez żadnej eliminacji i bez żadnych poprzednio rozegranych zawodów. Zobaczymy jaki z tego będzie skutek. Może warto w takim razie odwołać ten mecz z Czechami i poczekać zanim kluby nasze mieć zaczną nieco więcej szermierzy i zanim w kraju odbywać się będą przynajmniej kilka razy do roku jakieś poważne zawody międzyklubowe.

Niedziela 15 grudnia br. będzie datą historyczną dla boksu polskiego. Reprezentacja państwowa rozegra mecz ze Szwecją. Dotychczas Polska zwyciężała Szwedów, ale po wojnie trudno jest nam powiedzieć jak wielka zaistnieć mogła różnica w poziomie sportu bokserskiego obu państw. Bokserska reprezentacja Polski powinna jednak powtórzyć swoje zwycięstwo w Sztokholmie sprzed wojny.

Zginął śmiercią tragiczną w Pabianicach doskonały bramkarz PTC Adamkiewicz, który zaliczany był do rzędu najlepszych bramkarzy łódzkich.

J. N.

PRZYSZŁOŚĆ I SKARB NARODU

„Dziennik Łódzki" w Nr. 326(513) zreferował rozprawę, jaka się toczyła w łódzkim Wojskowym Sądzie Rejonowym przeciwko milicjantce Michalinie Majer, kierowniczce Izby Zatrzymań dla Małoletnich. Oto co pisze „Dziennik Łódzki": „Oskarżona odpowiadała za bicie dzieci, pensjonariuszów Izby, przeważnie chłopców handlujących na ulicy papierosami... W Izbie Zatrzymań, gdy kierowała nią oskarżona Majer, wytworzyły się stosunki tego rodzaju; milicjanci i milicjantki, którzy nie mieli pod tym względem skrupułów, należeli do plutonu egzekucyjnego kierowniczki, ci zaś, którzy nie mieli serca bić dzieci, gdy egzekucja się rozpoczynała uciekali na inne piętra, by nie słyszeć krzyków bitych. Świadkowie opisują takie zdarzenie; pewnemu kilkunastoletniemu chłopcu kazała oskarżona położyć rękę na krawędzi łóżka i biła go po ręku butem, kalecząc mu palce. Chłopiec nabawił się zakażenia... Sąd, uwzględniając niski poziom umysłowy osk. Majer, skazał ją na jeden rok więzienia z zawieszeniem kary na dwa lata".

Ta notatka dziennikarska jest przerażająca. Budzi otchłań myśli, refleksyj, wzburzenia i lęków. „Pluton egzekucyjny"... „egzekucja się rozpoczynała"... wrażliwi milicjanci „uciekają na inne piętra, by nie słyszeć krzyków"... Jakże musieli krzyczeć katowani chłopcy. Chryste! To przecie Oświęcim w małych wymiarach. Słynna Maria Mandl, siepaczka z Birkenau, upamiętniona w książce Szmaglewskiej, osadzona już jest w Mokotowie i niezadługo znajdzie się na ławie oskarżonych. Czy i ją sąd skarze na rok więzienia z zawieszeniem wyroku, „uwzględniając jej niski poziom umysłowy"? Bo nie ulega wątpliwości, że każdy sadysta, oprawca i okrutnik odznacza się niskim poziomem umysłowym, jak każdy zboczeniec i wynaturzeniec, choćby stwarzał pozory człowieka, pełnego inteligencji, kultury, ogłady i nawet wytworności.

Nie chodzi o krytykę wyroku sądowego; zapewne były jakies przyczyny tak łagodnego wyroku. Nie chodzi o to, czy Michalina Majer mogła być czasu okupacji folksdojczką, dziś zrehabilitowaną i przyjętą do milicji. Nie chodzi o to, że do milicji przedostają się niekiedy elementy bardzo nieodpowiednie; od kontroli nad nimi są władze milicji, które z pewnością kierują się zasadą „caveant consules"; skazanie Michaliny Majer jest tego dowodem. Nie chodzi na koniec o samo okrucieństwo, z którego przejawami otrzaskaliśmy się, jak widać, podczas wojny. Można tylko, przy tej smutnej sposobności, przypomnieć, na czym polega istota okrucieństwa, co stanowi jego rdzeń duchowy. René Guyon, jeden z najbardziej czujących ludzi, który uczył, że człowiek powinien być „głupio dobrym" (bêtement bon), w swej wstrząsającej analizie okrucieństwa („La Cruauté", Paris, 1927) stwierdzając, że okrutnik to człowiek **pozbawiony inteligencji i charakteru** (jak Michalina Majer), powiada, że okrucieństwo jest najwyższą podłością, a to dlatego, że pastwić się możemy tylko nad istotą **słabszą i bezbronną.** W tym ohyda okrucieństwa; siła znęcająca się nad słabością, która pozostaje całkowicie we władzy siły i nie może się jej przeciwstawić. Toteż najohydniejszym przejawem okrucieństwa jest znęcanie się nad dziećmi. I jako takie budzilo ono zawsze najwyższą odrazę.

Ale nie o te negatywne strony zagadnienia chodzi, acz możnaby o nich napisać tom. Chodzi o rzecz pozytywną — o dzieci. Jakżę często czyta się o nich w gazetach przepiękne i wzruszające słowa! Nazywamy je nadzieją i przyszłością narodu, skarbem i kwiatem... W swoim czasie otrzymywałem trochę listów od matek i zużytkowałem je jako tematy do paru felietonów dziennikarskich. Michalina Majer wskrzesiła we mnie ich wspomnienia. Jedna z matek opowiadała mi, jakich musiała użyć wysiłków, by znaleźć głupią surowicę dyfterytową; jeszcze pół godziny, a dziecko mogłoby nie żyć. Pewna robotnica z Pabianic pisała mi; „W Pabianicach Zarząd Miejski odebrał dzieciom od 3-go roku życia mleko... Dzieci nasze odżywiają się gorzką czarną kawą i razowym chlebem. Czy na to trzeba być bardzo mądrym i wykształconym, żeby zrozumieć, że wyrastają one na gruźlików? Inna matka pisała: „Proszę się zwrócić do lekarzy z Kropli Mleka, a dowiecie się że dziś trudno znaleźć dziecko bez początkującej lub już rozwiniętej krzywicy". Znajoma nauczycielka powiada mi właśnie, że w szkołach powszechnych nie ma mowy o dostatecznej opiece lekarskiej. Mniejsza z tym, że w ciasnej izbie tłoczy się pięćdziesięcioro dzieci. Ale raz wraz wybuchają epidemie: to świerzb, to jaglica, to jakieś wrzody i jest się wobec nich bezsilnym, i czeka się, aż same wygasną.

Mówi się — rząd, państwo. Oczywista, państwo powinno robić wszystko, co do niego w zakresie zdrowia dziecięcego należy. Ale oprócz państwa jest także społeczeństwo, są obywatele, jest naród. Są partie i związki, organizacje, stowarzyszenia, koła, komitety... Jeżeli państwo, ze względów finansowych nie może, opłacić jeszcze lekarzy szkolnych, dlaczego by rodzice nie mogli się złożyć po 20 zł. miesięcznie i nie wynająć dla danej szkoły lekarza na godzinę trzy razy tygodniowo? A jeśli są wśród nich tak biedni, że nie mają 20 zł, dlaczego by nie miała zapłacić za nich fabryka czy instytucja, gdzie pracują? Dlaczego by się nie mógł znaleźć lekarz-obywatel (dobrze jako lekarz zarabiający), który by za niewielkim wynagrodzeniem 1000—2000 zł miesięcznie przyszedł trzy razy na tydzień na przegląd dzieci szkoły? Dlaczego, jeśli zarząd jakiegoś miasta „odebrał" dzieciom mleko, nie zacznie go kupować fabryka, albo jakiś doraźny komitet nie zrobi na nie zbiórki śród zamożnych obywateli, dlaczego się oni nie opodatkują dobrowolnie po 200, po 100 zł miesięcznie? Dlaczego? dlaczego, dlaczego? Czy i dusze ludzkie są już doszczętnie wyszabrowane?

Jerzy Wyszomirski

NA LODOWCACH

Kilimandżaro

(dalszy ciąg)

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że aczkolwiek amatorów wejścia na Kibo (najwyższy szczyt Afryki) jest dużo, ale w ich liczbie są nawet tacy co zawracają już z miejsca naszego drugiego noclegu! Są tacy, co rezygnują właśnie tu (książka zawiera szereg takich szczerych wynurzeń); część daje za wygraną wyżej — na zboczu szczytowym; znacznie mniej dociera do brzegu krateru, do tak zwanego Gilmans Point, będącego trzecim czy też czwartym co do wysokości wierzchołkiem Kibo, a już zupełnie niewielu jest takich, którym by się chciało („chcieć“ — na tej wysokości to wielka rzecz) okrążyć potem krater jego brzegiem, to znaczy wędrować przez skały i lód blisko 3 kilometry i jeszcze wejść na sam „nai - naj - wyższy“ czubek, co ma dźwięczną — a jakże uchu polskiemu miłą nazwę — „Kaiser-Wilhelm-Spitze“! Procent bardzo mały.

Tragarze nasi momentalnie znikli w malutkiej przybudówce. Gdym zajrzał do nich, zobaczyłem kłębowisko ciał probujących grzać się dziurawymi kocami i własnym ciałem. Dusili się w dymie nikłego ogniska, ale wejście zasłaniali możliwie szczelnie. Widocznie cierpieli bardzo z powodu chłodu i wysokości.

Najlepiej trzymał się nasz „przewodnik“ Johanne i kucharz. Póki ten ostatni, miły i zawsze wesoło uśmiechnięty Murzyn, posiadający złowieszczo brzmiące imię — „Fatali“, walczył z dymiącym i odmawiającym posłuszeństwa piecykiem — zabrałem się do wertowania księgi pamiątkowej. Znalazłem w niej niezrozumiały na razie dla mnie dopisek:

„Jakie szczęście, że zacząłem wspinać się w nocy! Gdybym za dnia widział tę „drogę“, ten przeklęty „scree“, za żadne skarby świata nie skusiłbym się probować wejść“.

„Scree“? Co to jest? Moja znajomość angielskiego nie obejmowała tego wyrażenia. Mój przyjaciel, rodowity Anglik, nie wiedział również, ale co to jest w rzeczywistości — mieliśmy możnosć poznać jeszcze tej nocy.

Niewystarczająca w powietrzu ilość tlenu spowodowała zanik apetytu. O jedzeniu myślało się ze wstrętem. Ledwo zmusiłem siebie i namówiłem Billa do połknięcia lekkiej strawy, zagrzanej przez Fatali. Był to wszak nasz ostatni posiłek przed ostateczną próbą sił.

Trudno również mówić o spaniu na tej wysokości. Była to raczej nerwowa, niespokojna drzemka, przerywana ciągle uczuciem przykrej duszności. Mimo, że ułożyliśmy się mając na sobie wszystko, co tylko włożyć się dało, i mimo otulające nas małpie skóry — dokuczało bardzo zimno. Często zapalałem latarkę i zerkałem na zegarek. Pobudkę wyznaczyłem na godzinę 1-szą w nocy.

Dokładnie o pierwszej zjawił się Fatali. Zawsze zagadką było i jest nadal dla mnie: jak Murzyni potrafią określać czas, nie posiadając zegarków! Nie spóźnił się nawet o parę minut!

Już chciałem gramolić się spod betów, gdy Fatali powstrzymał mnie energicznym kręceniem głowy i szeregiem gestów, z których zrozumiałem tyle, że dostanę kubek gorącej herbaty jeszcze do łóżka! Zagrzał ją w try-miga. Na niej też zakończyło się całe nasze śniadanie.

Punktualnie o godzinie drugiej w nocy wyruszyliśmy. Johanne, Bill i ja.

Księżycowa noc była tak widna, że postacie nasze rzucały ostry cień. Podnosząc do oczu zegarek, widziałem doskonale wskazówki. Mróz był solidny. Na oko określam: 15, może 20 stopni. Na sobie mieliśmy tego dnia po dwie piżamy (niestety — letnie), po dwie pary koszul (również lekkie — tropikalne), po dwie pary spodni, jeden sweater (nikczemnej grubości) i nasze króciutkie i cieniutkie skórzane kurteczki. Nic więc dziwnego, że zaczęliśmy z miejsca szczękać zębami.

Rozgrzać się szybkim marszem? Łatwo powiedzieć! Serce gwałtownie protestowało przeciwko każdemu szybszemu ruchowi. Byliśmy wszak już na wysokości pomiędzy 5.000 a 6.000 metrów! Wlekliśmy się...

Teren początkowo mało stromy, zaczął „stawać dęba“, rosła stromizna. Wreszcie zobaczyłem, a raczej wyczułem nogami owe „scree“! Był to głęboki i djabelsko sypki popiół wulkaniczny!

Czy zdarzało ci się kiedy, czytelniku chodzić po miałkim a głębokim piasku? I nogi ci się zapadały w nim powyżej kostek? A teraz wyobraź sobie strome zbocze tego piasku, tak strome, że za lada poruszeniem zsypuje się jakby małymi lawinkami, usuwa ci się spod nóg, czekan na którym się wspierasz, zanurza się niczym w puszystym śniegu, zrobiony w górę wieeeeelki krok! — w efekcie końcowym daje jakie 10 — 5 centymetrów pokonanej wysokości. I to właśnie jest owo „scree“.

Jestem głęboko przekonany, że — jeżeli złośliwy Szatan ma swoje piekło, urządzone odpowiednio do ziemskich zamiłowań dusz pokutujących, to taki piekielny zakątek przeznaczony dla alpinistów, taterników i innych wariatów po górach chodzących, musi właśnie być „scree“, wspinają się po nim biedaki za grzechy pokutując.

Nie będą opisywał tej części drogi. Zresztą, o czym tu pisać? O tym zmęczeniu, o tej Kalwarii? Serce właziło w gardło, w oczach latały czerwone płachty, brakowało tchu. Odpoczywaliśmy po każdych 50-ciu, potem 40-tu, potem już tylko 20-tu krokach.

Czy napisać, że wymiotowaliśmy ze zmęczenia? Brzmi to może trywialnie, ale nie wstydzę się do tego przyznać. Było prawdą, tak samo prawdą, jak i to, że mimo wszystko szliśmy wyżej, wyżej i wyżej.



Lodowiec w kraterze Kibo

W płóciennych ubraniach (mimo piżam i koszul) zmarzliśmy tak, że byłem dosłownie gotów modlić się do pierwszych promieni wschodzącego słońca. Stwierdźmy zresztą, że — jeżeli takie „grzebanie się“ w przeklętym „scree“ jest Kalwarią — to noc jeszcze bardziej potęguje zmęczenie i przykre uczucie jakiegoś oderwania się od całego świata, uczucie zupełnej samotności, zagubienia się pomiędzy niebem a tym wstrętnym popiołem.

Księżyc się schował, ale w gęstej ciemności nie obawialiśmy się zgubić „drogi“: trzeba było po prostu gramolić się wyżej i wyżej, jeżeli miał być szczyt.

Gdyby ktoś zapytał mnie teraz. czy wówczas niebo usiane było migocącymi gwiazdami? czy widok zaróżowionych świtem mgieł był piękny? — nie potrafiłbym dać odpowiedzi. Byłoby to zresztą tylko poezją. Wtedy natomiast odczuwaliśmy najbardziej prozaiczną rzeczywistość: to znaczy — po prostu dziki wstręt do wszystkiego „sypkiego i grząskiego“, do serca włażącego w gardło, do rozdygotanego ciała i szczękających zębów, do tak wolno wschodzącego słońca. Nie chodziło nam o piękność budzącego się dnia; tęskniliśmy do promieni słonecznych, dlatego, że były ciepłe, ciepłe, niosły ciepło! Tylko dlatego!

Oblały nas, gdyśmy osiągnęli brzeg krateru, weszliśmy na Gilmans Point.

Nie wiem, czy ze względu na złość, spowodowaną tym „scree“, czy na upór — ale weszliśmy na Kibo w rekordowym czasie. Nie w sześć czy osiem albo nawet dziesięć (jak pisano w książce) godzin — lecz w cztery godziny i 15 minut.

Po krótkim odpoczynku, ogrzani już słońcem, szliśmy dalej, okrążając krater jego brzegiem. Słowo „szliśmy“ należy rozumieć, mając na uwadze wysokość sześciu tysięcy metrów! Szliśmy — to znaczy posuwaliśmy się bardzo wolno, oszczędzając każdy niepotrzebny lub gwałtowny ruch, wsłuchując się z niepokojem w szalone kołatanie serca. Wytrzyma maszynka?

Byliśmy wtedy już w zaczarowanym świecie lodowców, w krainie wiecznego mrozu, na błyszczącej niesamowitym blaskiem czapie Kibo. Gdyby nie bardzo ciemne okulary — nie wiem, czy oczy nasze wytrzymałyby ten blask.

Lodowce Kibo, bo nie można mówić o jednym lodowcu — był ich cały szereg, poprzedzielany skalnymi grzbietami albo całymi polami wylanej i zastygłej lawy — lodowce te należy jednak zaliczyć do „umarłych“, do szczątkowych. Wskazywała na to ich budowa. Kiedyś. o! wiele, wiele dziesiątków tysięcy lat temu musiały schodzić znacznie niżej.



Dojście do szczytu Kibo przez „zarośla“ iglic lodowych.

Proszę się nie dziwić, że słowo „schodzić“ ująłem w cudzysłów. Bo lodowce w górach „chodzą“, posuwają się — naturalnie zawsze tylko w dół, pod wpływem świeżych opadów śnieżnych, gdzieś ponad linią wiecznych śniegów, rodzą się. Masy śnieżne prasują się swoim ciężarem w lód, który przecież jest masą plastyczną. Zaczyna „ściekać“ w dół. Bardzo to wolny ruch — liczący zaledwie kilka, czy kilkanaście centymetrów dziennie — ale jest, lodowiec „schodzi“. I tak posuwa się aż do tego miejsca — gdzie następuje równowaga pomiędzy napływającą masą a ilością stopioną. Tu się kończy. Jeżeli natomiast z powodów zmian klimatycznych, naprzykład, zmniejszenia ilości opadów w roku, lub też podwyższenia przeciętnej rocznej temperatury — zmaleje napływająca masa lodu, równowaga zostaje zakłócona, topnieje więcej niż przybywa i... lodowiec „cofa się“, to znaczy jego dolna granica podnosi się wyżej. Staje się wówczas lodowcem „umierającym“. Właśnie takimi są one na szczycie Kibo.

Urwiste były ich brzegi. Często wręcz prostopadłe, albo nawet przewieszone, ociekające łzami ogromnych lodowych sopli. Lód tych zerw — rozpadlin, czysty jak szkło, świecił jakimś zielonkawym blaskiem

Posuwaliśmy się albo w cieniu takich zerw — albo, wyszukawszy przejście, wiaziliśmy na ich wierzch i szli lodowymi polami.

Zamarły, groźny, niesamowity świat — tak jednak mnie... bliski i kochany. Odżyły stare wspomnienia, poczułem się jakby młodszy o kilka czy też kilkanaście lat. Nawet mróz nie tak dokuczał, aczkolwiek jeden z aparatów fotograficznych, który miałem zawieszony u boku — zamarzł na fest i odmówił posłuszeństwa. Drugi trzymałem za pazuchą.

Niektóre pola lodowe pokryte były szczotką „Nieves Penitentes“, takimi stalagmitami kryształowego lodu wyrastającymi wprost do góry. „Rosły“ one również i z piargu — szutru lawy wulkanicznej — pomiędzy poszczególnymi lodowcami.

„Nieves Penitentes“ — w tłumaczeniu polskim oznacza „śniegi pokutujące“. Jest to prawdziwy dziwoląg natury i występuje na ziemi tylko w trzech rejonach; w środkowej części andyjskiego masywu w Argentynie, na płaskowzgórzu „Dachu Świata“ — to znaczy na Pamirze, no i tu — na Kilimandżaro.

Zagadka ich powstania dotąd nie jest przez glacjologow rozwiązana i wysuwa się cały szereg hipotez. W każdym razie powstają dzięki całemu splotowi warunków wywołanych nadzwyczajną suchością powietrza, sublimacją lodu na dużych wysokościach (małe ciśnienie atmosferyczne), silnym działaniem promieni słonecznych i... wiatrem, wiejącym przeważnie z jednego kierunku.

Jak to wygląda? Dam taki, bardzo zresztą uproszczony, przykład: proszę sobie wyobrazić całe pole grubej warstwy zleżałego i „zlodowaciałego“ śniegu. Na pochyłym miernie zboczu lub też w dolinie wysokogórskiej — to nie robi różnicy. I teraz wyobraźmy sobie, że jakiś olbrzym, jakimś mieczem wymiarów kolosalnych, zaczyna „szatkować“ ten śnieg, siec aż do gruntu, ale stale... w jednym kierunku. Powstają więc takie bruzdy — potem płyty lodowo-śnieżne. Łamią się i obtapiają pod wpływem wiatru i słońca.

(dalszy ciąg w nast. numerze)

Wiktor Ostrowski

JAK SOBIE poradzimy z NAFTĄ

Od „kipiączki" do lampy Łukasiewicza

Jak wynika z dokumentów znajdujących się w klasztorze franciszkanów krośnieńskich, miasta Drohobycz i Krosno posiadały przywilej używania oleju skalnego do oświetlenia już w XVI wieku. Wtedy olej występował często w sąsiedztwie wody, powodował jej burzenie, wskutek tego nazywano go „kipiączką".

Kiedy w roku 1810 kontroler salin Hecker, Czech rodem z Pragi, dokonał destylacji ropy, uzyskana ciecz już nie zanieczyszczała tak powietrza. Toteż w roku 1817 przedsiębiorczy kontroler otrzymuje ze stolicy Czech zamówienie na trzysta beczek oczyszczonej „kipiączki" za sumę trzy tysiące czterysta florenów. Ponieważ szalejące pomiędzy Pragą a Karpatami zawieje uniemożliwiły terminową dostawę, Hecker musiał pokrzywdzonemu miastu wypłacić pięć tysięcy florenów tytułem odszkodowania. Ale do destylacji się nie zraził. Oto co pisze w swym memoriale; Próby oświetlenia naftą „spotkały się z wielkim uznaniem. Urzędowy protokół potwierdził, że w stosunku do cen oleju lnianego nafta jest znacznie tańsza, również jest mniejsze zużycie knotów."

A jak wyglądała destylacja? „Sporządzanie nafty w Truskawcu odbywa się w wielkim miedzianym kotle na wódkę, którego fugi zostały starannie zalutowane kitem, sporządzonym z białka i gipsu. Napełnia się go $^2/_3$ olejem skalnym i destylacja dokonuje się przy równomiernej i niezbyt wysokiej temperaturze w dwóch do dwa i pół dni.

Jeśli się chce posługiwać naftą do palenia w lampach, to najlepiej wziąć flaszeczkę na 4 do 5 cali wysoką, zanurzyć w nią rurkę, a w to włożyć knot. Im krótszy jest knot, oraz im słabszy, tym lepiej i z tym mniejszym pali się swędem nafta"... „Przy czystym i dobrym urządzeniu jedna lampa może się palić nawet dwadzieścia cztery godziny bez przerwy czyszczenia jej". Instrument ten jest tak doskonały, że porównać go można bez skrupułów do ogniska płonącego na cześć dziewic rzymskich. „Lampa bez knotu podobna jest do westalskiego ognia, ponieważ wystarczy tylko ustawicznie materiału płynnego dolewać. Trzeba jednak być z nią ostrożnym, obkitować cieniutką rureczkę kitem niezapalnym, składającym się z opiłek żelaza, siarki, wapna i salmiaku, bo łatwo wybucha".



Rotary — wieża wiertnicza o konstrukcji żelaznej dla wiercenia obrotowego w Roztokach koło Jasła. Wykonuje ona dziennie 2 m. odwiertu za cenę około 20.000 zł. za 1 m.

Kiedy po wielu targach we Lwowie w szpitalu zostaje zapalona lampa Łukasiewicza losy „kipiączki" zostały już określone. Ciecz ta nie przypominająca już swej gęstej rodzicielki, jest przechowywana w czystych beczułkach, wywołuje już rumieńce na twarzach giełdziarzy i powoduje drżenia na rynkach akcyjnych. Wraz z troską o jakość i wielkość produkcji, rośnie też dbałość o szybkość odwiertu. Do tego czasu ropę czerpano putniami, zlewano ją do osobnych dołów celem odłączenia od mułu i wody, od tej chwili producenci poczynają przemyśliwać nad mechanizacją wydobycia. Pierwszym poważnym krokiem w tej mierze było zastosowanie amerykańskiego świdra. Świder ten mający ponad pół metra średnicy pozwalał osiągnąć 250 mtr. głębokości, (dotąd 50), zapewniał bezpieczeństwo wiertaczowi i poruszany ręcznie wyparł z kopalnictwa łopatę i koński ogon. (Na producentów wydobywających ropę przy pomocy tego prymitywnego narzędzia można natrafić i dzisiaj. Dotychczas, uboga ludność, tak zwani „łebacy", trudnią się sprzedażą paliwa dobytego z kałuż przy pomocy końskiego włosia. Patrz fotografia tytułowa).

POLSKI PRZEMYSŁ NAFTOWY NA TLE PLANU 1947—49

Jak się przedstawia polski przemysł naftowy na tym tle? Polska obecna zatrudniając 7000 pracowników fizycznych wydobywa miesięcznie 10.500 ton ropy, 300 ton gazoliny, 10 milionów m^3 gazu. Jest to jeszcze niewiele, ale w miarę unowocześnienia produkcji, należy spodziewać się zwyżki.

Zapotrzebowanie paliw płynnych w Polsce w roku 1947 oceniamy na 450 tysięcy ton. W latach 1948, 1949, potrzeby nasze wzrosną do 600.000 ton rocznie. Czy istnieje prawdopodobieństwo osiągnięcia miliona ton rocznie, jak to sobie przysięgli nasi dyrektorzy naftowi? Można się uśmiechać, można uśmieszkami zbyć nawet odkrycie Kopernika. Niestety, w kopalnictwie uśmieszek dyletanta znaczy tyle, co nic. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Nafta nie śmieje się często ale jak się zaśmieje, wtedy ze zziajanego dwuletnim wierceniem szybu tryska imponujący gejzer ropy.

Bądźmy cierpliwi. Nie od razu Kraków zbudowano. Musimy pamiętać o naszych wojennych stratach. W kopalnictwie wszakże straciliśmy 80 milionów dolarów, w przemyśle gazowym 20 mil. dol., w przemyśle rafiner. 28 mil. dol. Razem sto dwadzieścia osiem mil. dolarów, za które dotąd nie otrzymaliśmy żadnej rekompensaty. Pamiętając zaś o stratach musimy także pamiętać o brakach. Musimy przeto usprawnić nasze przestarzałe metody eksploatacyjne, wykończyć planowane instalacje dla produkcji paliw syntetycznych z węgla, przygotować nowe, rentowniejsze sposoby uzyskania paliw wysokiej jakości, podnieść poziom techniczny i moralny pracowników, szkolić nowe kadry techników z niższym i średnim wykształceniem, forsować poszukiwania naftowe. Niestety, w strefie okupacyjnej angielskiej leżą znaczne ilości naszej stali wiertniczej, rygów, urządzeń rafineryjnych, wywiezionych z Polski przez okupanta i zapasy te nie wracają do swoich właścicieli. Musimy więc też i czekać, aż Albiończycy zechcą odebrać Niemcom to, co Niemcy odebrali nam Polakom. Poczekać musimy!

POSZUKIWANIA NAFTOWE

Możemy czekać na naszą stal i nasze rygi wiertnicze, ale nie możemy zakładać rąk i nóg. Musimy zakasać rękawy i poszukiwać.

W tej chwili odbywają się wiercenia poszukiwawcze; w Klęczanach koło Nowego Sącza, w Rychwałdzie, w Radziechowej koło Żywca, w Iwoniczu, w Foluszu koło Żmigrodu, w Dębowcu koło Skoczowa, w Wałkach koło Tarnowa, w Wojsławicach koło Mielca, w Siedlcach pod Bochnią, w Kłodawie pod Kutnem. Poza tym przygotowuje się 1 otwór w Pilznie, opracowuje się wiercenia na linii Przeworsk—Jarosław, Korczyn—Szczucin, Inowrocław, oraz Dębnik pod Krakowem. Stwierdzono tam siodło w warstwach paleozoicznych: sylur, który w Stanach Zjednoczonych wydał imponujące ilości ropy. Spodziewany jest również pewien efekt na prawym brzegu Pilicy w okolicach Gielniowa, gdzie w przedłużeniu Gór Świętokrzyskich może się znajdować ropa w warstwach cechsztynu.

Już poszczycić się możemy pewnymi rezultatami. W Dembowcu koło Skoczowa natrafiono na głębokości zaledwie 396 m. na poważne pola gazowe. (W związku z budową gazociągu Kraków-Oświęcim projektuje się przedłużenie przewodu przez Białą do Dembowca i zaopatrzenie Krakowa i Tarnowa w gaz).

Podobnie w Foluszu koło Gorlic dowiercono się już nafty na głębokości 725 metrów. Na razie szyb dostarcza pół tony na dobę, ale według wszelkich przewidywań teren ten dostarczy niebawem nowych pól ropodajnych.



W ciszy leśnej, pośród oszronionych szczytów jodłowych samotna wieża wiertnicza.

FABRYKA PALIWA SYNTETYCZNEGO W OŚWIĘCIMIU

Według założeń planu 3-letniego w roku 1949 będziemy potrzebowali 600.000 ton paliw płynnych. Pokrycie własne z ropy i gazu i benzolu wynosi mniej więcej 300.000 ton. Pozostałe 300.000 ton pokryje albo import albo produkcja krajowa.

Ta ostatnia jest u nas możliwa dzięki istnieniu bogatych złóż węgla. Blachownia, Deszowice, Kędzierzyn, Poelitz na Ziemiach Odzyskanych dostarczały przecież okupantowi ponad milion paliw syntetycznych rocznie. Dziś te zniszczone ośrodki przemysłowe przedstawiają się jak Starówka. Pozostałe po nich szczątki, zwłaszcza Kędzierzyna i Blachowni, zostaną przewiezione do Oświęcimia, gdzie będzie uruchomiona fabryka o produkcji 40.000 ton syntezy.

W pierwszym etapie budowy Oświęcim będzie produkować 20.000 ton syntyny rocznie (otrzymujemy 70 pieców fiszerowskich do ciśnień atmosferycznych produkujących 120 kg syntyny na godzinę). Produkcja ta jest możliwa dopiero po wybudowaniu pokaźnej fabryki dla przeróbki i odświeżanie zużytego katalizatora.

W drugim etapie przy wykonywaniu dalszych części aparatury ze Schwarzheide projektuje się podniesienie produkcji do pełnej wysokości 40.000 syntyny rocznie.

W trzecim etapie rozbudowy produkcji paliw syntetycznych będziemy już w stanie pokryć zapotrzebowanie trakcji motorowej naziemnej i lotniczna.

PRODUKCJA GAZOLINY

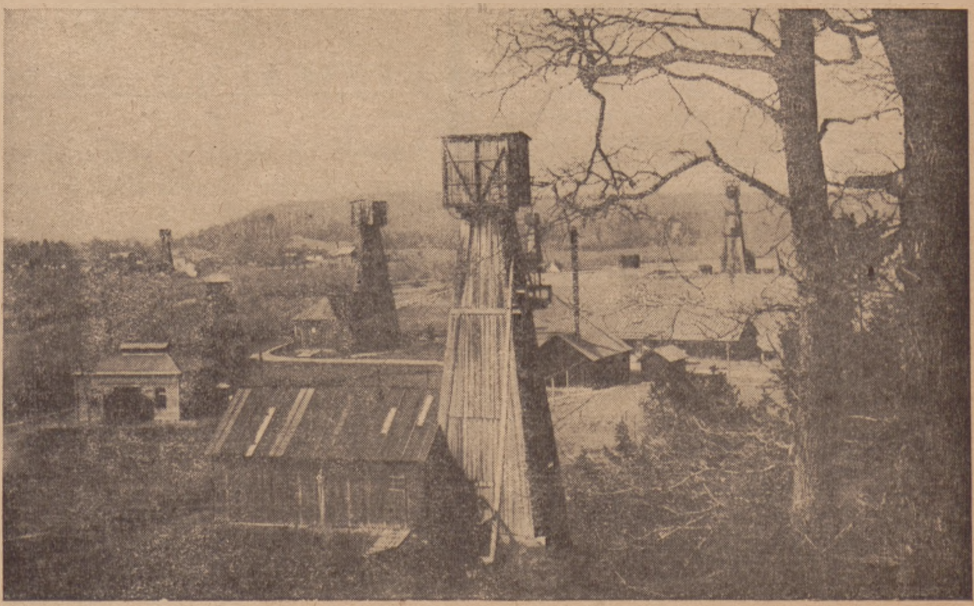
Zapowiedziane nowe metody gospodarki ropą, zdążające do uniknięcia strat tzw. lekkich frakcji, spowodują niewątpliwie zwiększenie się produkcji gazoliny i gazu płynnego. Tak zwany Wielki Program Gazolinowy przez poddanie racjonalnej przeróbce gazu o wysokiej wartości gazoliny (z otworów ropnych), zarówno i gazów o niskiej zawartości gazoliny tzw. półsuchych (z pól gazowych), przewiduje budowę czterech nowych gazoliniarń (Turzepole, Roztoki koło Jasła, Glinik Mariampolski, Strachocina) i budowę instalacji stabilizacyjnej w Jedliczu k. Jasła. Dla zaradzenia brakowi benzyny wzdłuż wszystkich gazociągów będą budowane co kilkadziesiąt kilometrów stacje kompresorowe, w których będzie się sprężać gaz ziemny w butlach do 350 atmosfer. Sprężony w ten sposób gaz metan, dzięki wysokiej tak zwanej „liczbie oktanowej" doskonale nadaje się do silników samochodowych. W tym celu planuje się budowę gazociągu Zabrze-Kraków, o długości 100 km, który połączy sieć gazu koksowniczego z siecią gazu ziemnego. Na rok 1948 planowana jest budowa gazociągu Lubienie—Warszawa o długości 130 km, a niebawem, o ile rozbudowa pola gazowego w Strachocinie zostanie uwieńczona odpowiednimi rezultatami, rozbuduje się połączenie Strachociny z Przemyślem, przewodem długości 70 km. co ułatwi doprowadzenie gazu do przemysłu w Sandomierskim, i do stolicy.

Zygmunt Fijas

Najpotężniejsza w Polsce rafineria w Trzebini Jej zdolność przetwórcza wynosi przy pełnym obciążeniu 10.000 ton. Tyle prawie, ile wynosi cała nasza miesięczna produkcja ropy.



Ogólny widok szybów naftowych w Winnicy koło Krosna.



SZKOLENIE KADR SPÓŁDZIELCZYCH

W dniu 5 i 6 grudnia odbyło się zebranie Rady Wychowania Spółdzielczego. Głównym tematem obrad był referat dr. Kołodziejskiego pt. „Kilka uwag o roli wychowania spółdzielczego w kształtowaniu obecnej rzeczywistości".

Rada Wychowania Spółdzielczego ma charakter opiniodawczy, należy się jednak spodziewać, że należycie zaważy na zagadnieniu wychowania, a przez nie na wytworzeniu nowego człowieka. Uczynić to może i przez szeroki swój zasięg, jak i dobór członków, reprezentujących liczne instytucje, zainteresowane całokształtem zagadnień wychowawczych. Poza organizacjami spółdzielczymi („Społem", Związek Rewizyjny Spółdzielni R.P., Państwowa Rada Spółdzielcza, Spółdzielczy Instytut Naukowy, Zw. Zaw. Pracowników Spółdzielczych), biorą w Radzie udział przedstawiciele wszystkich wyższych uczelni a więc prof.: Suchodolski, Baley, Chałasiński, Radlińska, Bujak, Ingolt, Dobrowolski, Kłapkowski, Szram, Taylor, Skupieński, Piaścik, Całkosiński i inni. Zasięg Rady obejmuje Zw. Nauczycielstwa Polskiego, CKZZ organizacje młodzieżowe.

Wyniki ostatnich obrad Rady wymagają osobnego omówienia. Te wyniki nabiorą pełnego wyrazu, jeśli się zapoznamy ze stanem szkolenia i wychowania spółdzielczego.

Przetrzebione silnie dawne kadry spółdzielców już nie wystarczają. Musiał nastąpić napływ nowych pracowników nie tylko niewyszkolonych, ale tkwiących sposobem myślenia w przeszłości. Toteż spółdzielczość podjęła natychmiast akcję szkoleniową i wychowawczą. Zadanie to podjęło i „Społem", stosując zrazu metody skrócone i uproszczone w ogniu codziennej praktyki. Bardzo korzystne okazały się wprowadzone przez „Społem" comiesięczne zebrania pracowników, na których uczestnicy wysłuchają referatu i dyskutują go, omawiają sprawozdanie z działalności swojej placówki, wreszcie poruszane są zagadnienia pracownicze.

Powstały kursy korespondencyjne z udziałem ok. 2200 osób, przerabiających tematy przeważnie w zespołach, których utworzyło się 107. Prowadzono pracę szkoleniową i wychowawczą w dalszym ciągu na zebraniach miesięcznych, przez organizowanie sąsiedzkich odwiedzin, na wczasach w 10 ośrodkach. Przez te ośrodki przeszło 1526 pracowników w 43 turnusach dwutygodniowych.

„Społem" ze względu na swoje zadania musi kłaść nacisk na szkolenie fachowe, które zresztą odbywa się równolegle z zadaniami wychowawczymi. Takie szkolenie odbywa się w centralnych ośrodkach szkolenia (Otwock pod Warszawą i Łódź), gdzie szkoli się pracowników odpowiedzialnych i okręgowe w każdym województwie.

Działają już i tworzone są nowe ośrodki szkolenia branżowego, jak włókienniczy w Łodzi, młynarski w Kaliszu, planowane są; papierniczy i jajczarski oraz dalsze w miarę przejmowania nowych gałęzi przemysłu zgodnie z planem trzyletnim.

Wszystkie te formy szkolenia połączone są ściśle z wychowaniem spółdzielczym — domeną działalności Związku Rewizyjnego. Dla bliskiej przyszłości największą wagę należy przywiązywać do szkół spółdzielczych licealnych oraz przysposobienia spółdzielczego, których mamy na terenie Polski 70 (w tym 16 liceów spółdzielczych). Wielkie też znaczenie mają kursy, prowadzone przez organizacje młodzieży (TUR, ZWM, Wici, Harcerstwo). Kursy te cieszą się wielką popularnością i nie są w stanie objąć wszystkich kandydatów, którzy się garną.

Równolegle działają związki zawodowe, organizujące kursy dla działaczy spółdzielczych na terenie ruchu zawodowego.

Piękną inicjatywę podjęło „Społem" przez uchwalenie 200 stypendiów po 6000 zł miesięcznie dla studentów wszystkich wydziałów, interesujących się ruchem spółdzielczym. Stypendyści społemowcy będą zobowiązani do praktyki na placówkach spółdzielczych, utrzymywania stałej łączności ze „Społem", do wysłuchania wykładów o spółdzielczości. Można żywić pełne przekonanie, że ta młodzież, zetknąwszy się blisko z ruchem spółdzielczym i pracą spółdzielczości — wejdzie na stałe do szeregów ruchu, stając się nie tylko jego pracownikami, ale i propagatorami.

Działalność wśród młodzieży akademickiej nie jest wystarczająca. Trzeba nam całych wydziałów spółdzielczych, trzeba nam katedr. Dotychczas mamy tylko studia w WSGW w Łodzi i o charakterze specjalnie rolniczym w Krakowie. Spółdzielczość zabiega o katedry spółdzielczości w Krakowie, Warszawie, na Politechnice Warszawskiej, w Poznaniu i Wrocławiu.

Olbrzymia rola spółdzielczości w naszej gospodarce potęguje się z dnia na dzień. Obejmuje coraz szersze masy. Powiązanie ich interesu gospodarczego ze spółdzielczością ułatwia wpływ wychowawczy na nie. Ten zaś wpływ wymaga coraz liczniejszych pracowników, przesiąkniętych do głębi ideologią spółdzielczą, pracowników, którzy sami umieją już myśleć spółdzielczo. Na nich można gruntować zasady demokracji, przeobrażenie człowieka, którego wymaga nasz nowy ustrój.

SZWEDZKI HANDEL ZAGRANICZNY

Wymiana towarowa Szwecji z zagranicą wyniosła w roku ubiegłym ogółem 2,84 miliardów koron, w porównaniu z 2,53 miliardów w roku 1944. Stosunek pomiędzy importem i eksportem przekształcił się po wojnie całkowicie, gdyż zamiast nadwyżki przywozu w wysokości 824 milionów koron, po raz pierwszy od wielu lat pojawiła się nadwyżka eksportu, sięgająca 670 milionów koron. Mimo to w porównaniu z latami przedwojennymi szwedzki handel zagraniczny miał w roku 1945 mniejsze rozmiary, po stronie eksportu do 80%, importu 50%. Wartościowo wywóz wynosił w 1945 roku 1.756.800 koron (w 1944 — 853.000), przywóz natomiast 1.087.000. Około 60% nadwyżki eksportowej przypada na obrót z Norwegią i Wielką Brytanią.

Ten duży wzrost eksportu przypisać należy w pierwszym rzędzie forsowaniu wywozu drzewa, papieru i celulozy, który w roku ubiegłym wyniósł 905 milionów koron. Silny wzrost zaznaczył się również w eksporcie żywności z 31 (w 1944) do 102 milionów koron, obejmując 600.000 kg. masła, 3.600 ton margaryny, 6.600 ton tłuszczów roślinnych, a nawet 127.000 ton zboża. Osobną pozycją — wartości 130 milionów koron — był eksport środków transportowych i maszyn.

Po stronie importu utrzymywał się tylko na poziomie roku poprzedniego przywóz środków żywnościowych.

Ostatnio były prowadzone rozmowy szwedzko-radzieckie na temat udzielenia przez Szwecję dla ZSRR kredytów towarowych wysokości 200 milionów koron szwedzkich rocznie w ciągu 5 lat. Odnośny układ handlowo - kredytowy został podpisany we wrześniu br. W ramach tych kredytów Związek Radziecki otrzyma przede wszystkim urządzenia i przybory elektrotechniczne. Eksport do innych krajów będzie musiał ulec ograniczeniom. Jest to prawdziwa rewolucja w szwedzkim handlu zagranicznym, który dotychczas był nastawiony głównie na rynki anglosaskie.

Bardzo ciekawym wydarzeniem, związanym z powyższym układem, a wkraczającym już w dziedzinę polityki — jest niezadowolenie z niego w Ameryce. Niezadowolenie to wyraziło się nawet wysłaniem przez Waszyngton noty do Szwecji i Związku Radzieckiego, dającej wyraz zaniepokojeniu z zawierania tego rodzaju układu dwustronnego. Zdaniem Stanów Zjednoczonych — stosunki handlowe winny rozwijać się w ramach układów wielostronnych, lub nawet gospodarczych organizacyj międzynarodowych.

Jak wiadomo, ostatnio udała się do Szwecji delegacja polska celem zawarcia polsko-szwedzkiego układu handlowego.

S.W.B.

DAWNA POLSKA
w opisach podróżników

Mieczysław Smolarski, autor „Pieśni i śpiewów rycerskich", „Poezji powstania listopadowego i legjonów" — książki nagrodzonej przez Polską Akademię Umiejętności, jest jednocześnie powieściopisarzem, poetą i badaczem naukowym. Wydał ostatnio książkę p.t. „Dawna Polska w opisach podróżników" (wydawnictwo Książnicy Atlas — Wrocław — Warszawa), w której podaje szereg interesujących opisów dawnej Polski, widzianej oczyma cudzoziemców.

Wielu z nich przewinęło się przez ziemie polskie; byli wśród nich: kupcy, błędni rycerze, legaci papiescy, wojownicy, lekarze oraz liczni turyści. Wszyscy oni przypatrywali się, słuchali, a po powrocie do rodzinnego kraju opowiadali lub pisali. „Jedni zaciekawiali się przede wszystkim zewnętrznym blaskiem życia, jego barwą i odrębnością, gwarem uczt, wspaniałością obchodów i ubiorów. Inni starali się spojrzeć głębiej..."

Dzieła, z których Smolarski zgromadził materiał do swej książki, są nieraz bardzo rzadkie, u nas przeważnie nieznane, przy tym, starał się podawać przede wszystkim te szczegóły, które dotyczą nie dość dokładnie zbadanej historji polskich obyczajów. „O tej przeszłości dawnej naszej Rzeczypospolitej wiemy jeszcze na ogół zbyt mało; z epoki jej wielkiej świetności nie dość zdajemy sobie sprawę", toteż książka Smolarskiego, wprowadzając czytelnika w dawną, barwną epokę — spełnia swoją rolę.

B.

Z okazji imienin dyr. Mariana Weralskiego prezesa Zarz. Spół. Wyd. „Tydzień", pracownicy Redakcji i Administracji „Tygodnia" składają 1000 zł. na Gwiazdkę dla biednych dzieci.



SIGNUM TEMPORIS

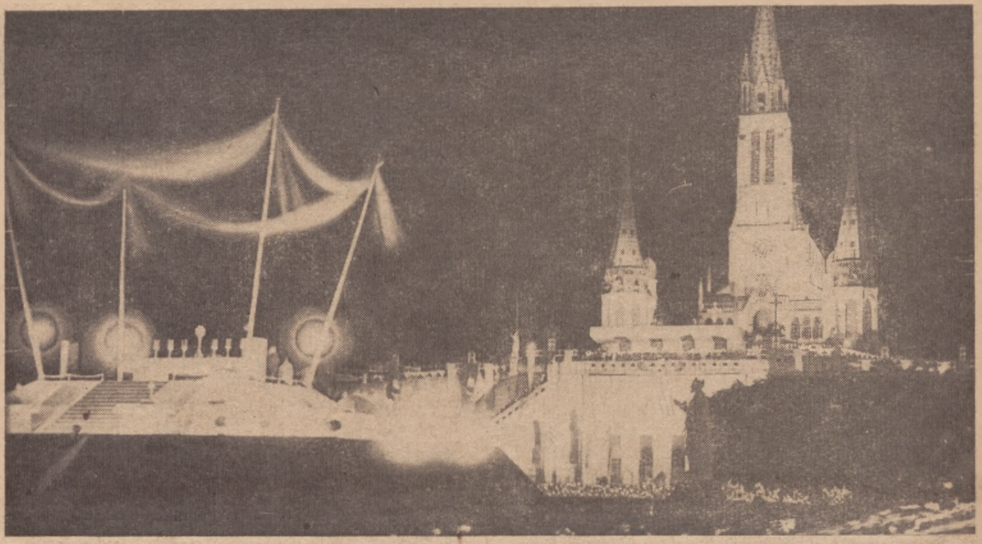
PIERWSZA ŚWIĘTA AMERYKAŃSKA

Papież Pius XII dokonał niedawno kanonizacji Franciszki Ksawery Cabrini z Nowego Jorku. Uroczystość ta połączona była z biciem w dzwony we wszystkich 400-u kościołach Rzymu.

Dla wielu milionów katolików w Ameryce akt ten był osiągnięciem o wyjątkowym znaczeniu. Po raz pierwszy w historii obywatelkę amerykańską uznano za świętą. Wprawdzie matka Cabrini pochodziła z Włoch, ale dzieło swego życia tworzyła w Ameryce Płn., dokąd przybyła w 1899 r. jako młoda siostra zakonna. Zorganizowała tu zakon Serca Jezusowego i założyła wiele sierocińców i szpitali.

Kanonizacji dokonano w 29 lat po jej śmierci. Zwłoki świętej spoczywają w szklanej trumnie w kaplicy nowojorskiej przy szkole jej imienia.

PIELGRZYMKA B. WIĘZNIÓW OBOZÓW KONCENTR. W LOURDES



Widok bazyliki w Lourdes oraz podium podczas nocnej procesji w dniu 8 grudnia w której wzięli udział b. więźniowie obozów koncentracyjnych w Niemczech. (S.A.P.)

CZY SIĘ POGODZĄ?



Sytuację w Indiach śledzi z zainteresowaniem cały świat. Rozbicie religijne i szczepowe tego 400-milionowego narodu, wykorzystywane było umiejętnie do tej pory przez Wielką Brytanię. Budząca się świadomość narodowa i dążność do pełnej niezależności, jest hamowana przez ambicje przywódców różnych plemion i szczepów. Ostatnia konferencja przywódców Hindusów i Muzułmanów w Londynie z przedstawicielami rządu Wielkiej Brytanii nie przyniosła pożądanych rezultatów, toteż niewiadomo czy rząd indyjski w obecnym swoim składzie zdoła pogodzić zwaśnionych i zażegnać stan wrzenia w kraju.

Sytuacja obecna jest dość wygodna dla Anglosasów, bo pozwala im na ingerencję w sprawy Indii i dalsze eksploatowanie bogactw tego kraju.

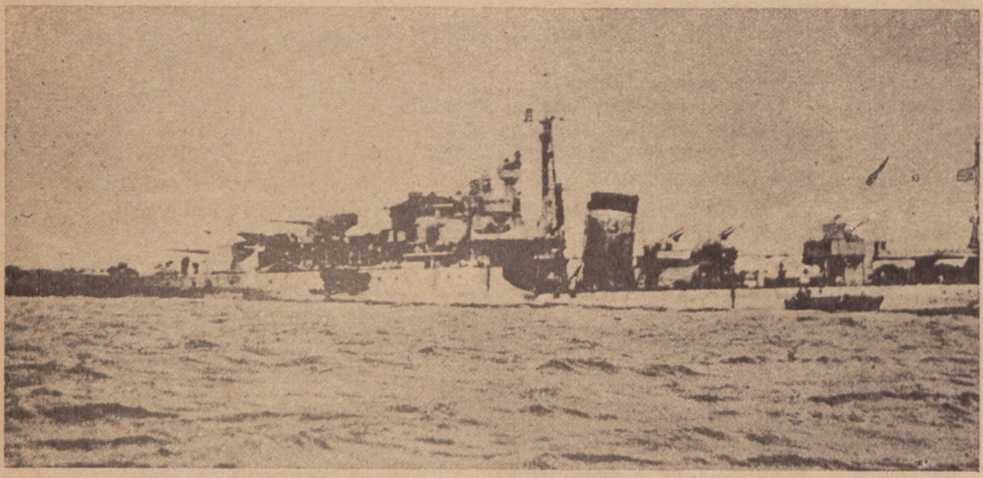
Na zdjęciu: Tymczasowy rząd indyjski z przewodniczącym Kongresu Narodowego i premierem Pandith Nehru (czwarty odlewej) na czele.
(Illustrated London News)

POSZUKUJEMY DOBRYCH ZDJĘĆ
Prosimy naszych czytelników o nadsyłanie oryginalnych zdjęć fotograficznych. Zdjęcia zakwalifikowane do reprodukcji **zostaną zakupione** wg. ustalonych stawek. Za zdjęcia wyróżniające się pomysłowością i wykonaniem Redakcja przeznaczy **specjalne premie.**



Dnia 16. b.m. Wielka Brytania obchodzi dziesiątą rocznicę wstąpienia na tron króla Jerzego VI. Na zdjęciu król z małżonką i córkami: Elżbietą (z lewej) następczynią tronu i Małgorzatą (z prawej). (S.A.P.)

NA CUDZYCH WODACH NIEBEZPIECZNIE



Okręt brytyjski „Saumarez", znalazłszy się na wodach terytorialnych albańskich, natrafił na minę i zatonął, co wywołało zatarg dyplomatyczny między Wielką Brytanią a Albanią.
(Illustrated London News)

MUR PŁACZU DWUDZIESTEGO WIEKU

Wielka Brytania — nie chcąc rozstrzygnąć pozytywnie dezyderatów żydowskich odnośnie Palestyny, w obawie, aby nie narazić się Arabom — napotyka na opór ze strony organizacji żydowskiej „Zwai Leumi".

Na zdjęciu: Moment przeprowadzania rewizji w dzielnicy żydowskiej w Jerozolimie, w której Brytyjczycy wyprowadzali Żydów pod mur i przeprowadzali szczegółową rewizję w poszukiwaniu broni.
(Illustrated London News)



Od i do Redakcji

P. Aniela Morzkowska w Warszawie. Bardzo dziękujemy za nadesłane przysłowia, większość z nich jest znana, ale są wśród nich i nieznane i te wykorzystamy. Może posiada Pani książkę Ks. S. I. S. wydaną w Cieszynie? O ile przypomniałaby Pani sobie jeszcze jakieś, to prosimy o napisanie do redakcji.

P. Roman Wiśniewski w Warszawie i P. Maria Dąbrowska w Katowicach. Zbiór polskich przysłów ludowych ukaże się na półkach księgarskich w pierwszej połowie przyszłego roku. Obecnie jest uzupełniany jeszcze nowymi nadsyłanymi z terenu.

P. Tadeusz Szczudłowski w Lublinie. Konkurs fotograficzny zakończyliśmy w Nr. 22 z dnia 8 bm. Rozstrzygnięcie konkursu fotograficznego podamy w numerze poświątecznym.

P. Jerzy Ficowski Włochy koło Warszawy. Premię za nadesłaną „Sklerozę" przesłaliśmy pocztą.

WśRÓD ZŁOMU ODNALEZIONO GŁOWĘ Z POMNIKA CHOPINA



Państwowe Zakłady Rafineryjno-Przetwórcze Metali Kolorowych we Wrocławiu były przed wojną największą fabryką tego rodzaju w środkowej Europie. Podczas wojny powstały obok tych zakładów składy łomu metali kolorowych obsługiwane wyłącznie przez esesmanów. Niemcy zwieźli tu metale kolorowe ze wszystkich stron Europy.

W czasie porządkowania składu natrafiono na wiele pamiątek i dzieł sztuki zarówno polskich jak i obcych. Między innymi odnaleziono głowę z pomnika Chopina wywiezionego przez Niemców z Warszawy.

ZJAZD ZAGOSPODAROWANIA ZIEM ZACHODNICH



We Wrocławiu odbył się Ogólnopolski Zjazd Komisji Obywatelskich Daniny Narodowej, w którym wzięli udział: prezydent K.R.N. ob. Bierut, wiceprezydent K.R.N. Grabski, przedstawiciele rządu oraz przedstawiciele wojewódzkich i powiatowych Komisji Daniny Narodowej. Zjazd miał na celu podsumowanie dotychczasowych prac przygotowawczych oraz ustalenie wytycznych na przyszłość. Wśród licznych zagadnień państwowych i ogólnonarodowych sprawa Ziem Odzyskanych zajmuje jedno z pierwszych miejsc, co zresztą stwierdził w swem przemówieniu prezydent Bierut. „Nie będzie bowiem żadnej przesady w twierdzeniu, że Naród Polski... żyje dziś pod znakiem jaknajszybszego zagospodarowania Ziem Odzyskanych, jak najściślejszego powiązania ich ponownie z Macierzą, że wokół zagadnień, związanych z Ziemiami Odzyskanymi, jednoczą się wszyscy Polacy, którym szczęśliwa przyszłość naszej Ojczyzny leży rzeczywiście na sercu. Ziemie, które w ciągu wieków były terenem najbardziej bezwzględnej akcji germanizacyjnej, dziś w niespełna 2 lata po wojnie zamieszkałe są przez 5 miljonów Polaków".

Na zdjęciu: Prezydium Zjazdu z prezydentem Bierutem i wicepr. Grabskim na czele.

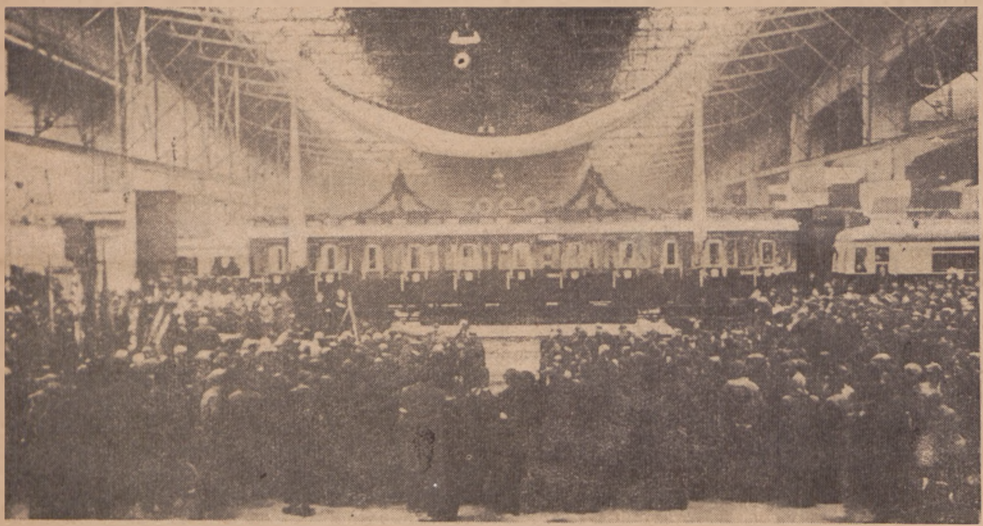
(fot. Film Polski)

Polska odzyskała swój rad



Min. zdrowia i opieki społecznej Litwin bawiąc ostatnio w Wiedniu przejął odnaleziony tam zapas radu, wywiezionego przez Niemców z Warszawy.
Na zdjęciu: dr. Łukaszczyk wypakowuje rad. (fot. Film Polski)

PIĘCIOTYSIĘCZNY WAGON



W Pruszkowie odbyła się uroczystość przekazania władzom kolejowym pięciotysięcznego wagonu osobowego. To, że w ciągu niespełna dwóch lat, warsztaty kolejowe pruszkowskie wypuściły 5000 wagonów, jest wynikiem bardzo poważnym zważywszy na duże zniszczenia, jakie pozostawili po sobie Niemcy.

(Film Polski)

HEIL SCHUHMACHER

Prasa codzienna podała wiele szczegółów skandalicznej wizyty przywódcy socjalistów niemieckich dra Kurta Schuhmachera w Londynie, nie prześwietliła jednak dostatecznie samego zagadnienia tak wczesnej wizyty niemieckiej w stolicy zwycięskiego kraju.

Nie ulega wątpliwości, że Anglicy postanowili raz jeszcze postawić na demokratycznego konia niemieckiego, nie zdając sobie zapewne sprawy, że stawiają na zdecydowanego outsidera.

Po poprzedniej wojnie światowej upłynęło 5 lat, zanim pierwsza delegacja niemiecka zaproszona została do Londynu i uzyskała pewne ulgi w spłacie odszkodowań wojennych. Ale też Partia Pracy przyszła do rządów właśnie w 5 lat po zakończeniu wojny. Ale po pierwszym zwycięstwie wyborczym Partii Pracy Niemcy zaproszeni zostali natychmiast do Londynu.

Tym razem koniec wojny zastał u steru Partię Pracy, stąd ten pośpiech w zaproszeniu delegacji socjalistów niemieckich do Anglii. W tych okolicznościach dziwić się nawet należy, że wizyta nie przyszła do skutku o wiele wcześniej.

Mało nas obchodzi, kim jest dr Kurt Schuhmacher. Wiemy, że jest socjalistą niemieckim, to wyjaśnia bardzo wiele. Albowiem socjalizm niemiecki jest równie nacjonalistyczny, jak był nim socjalizm narodowy Hitlera. Kto wie nawet, czy narodowi socjaliści, którzy wyszli cało z pogromu Niemiec nie zasilili szeregów socjalistycznych. Skąd bowiem wzięły się z dnia na dzień te miliony socjalistów niemieckich, jeśli za rządów Hitlera nie było ich wcale, a jeśli byli, to w liczbie tak znikomej, że ich istnienie nie mogło być i nie było brane przez nikogo w rachubę.

Spojrzyjmy na pewne analogie:

Hitler rozpoczął swą działalność od krytykowania „dyktatu" wersalskiego. Czynił to najpierw w piwiarniach, potem na wiecach, wreszcie na posiedzeniach Reichstagu. Wymyślał najbezczelniej sojusznikom zarówno przed objęciem rządów, jak i potem. Dążył do rozszerzenia granic Niemiec, ściśniętych traktatem wersalskim. Wreszcie dokonał rewolucji w Niemczech i zaczął realizować swe zbrodnicze cele.

Dr Schuhmacher rozpoczyna swą działalność od krytykowania przyszłego traktatu pokojowego z Niemcami, jakkolwiek nie został on jeszcze nawet naszkicowany. Czyni to na licznych wiecach i przed ciekawymi słuchaczami angielskimi w auli uniwersytetu w Cambridge. Krytykuje postępowanie sojuszników wobec Niemców. Grozi rewolucją nacjonalistyczną. Dlaczego właśnie nacjonalistyczną? Bo dziś każdy niemal Niemiec jest nacjonalistą. A największymi nacjonalistami są bodaj socjaliści typu dra Schuhmachera.

Te analogie mówią wiele. I dlatego nie zdziwilibyśmy się, gdyby nam powiedziano, że ten i ów dobry socjalista, czy inny demokrata niemiecki, słysząc przez radio przemówienia londyńskie dra Schuhmachera, uśmiechając się z zadowoleniem, wykrzyknął radośnie:

„Heil Schuhmacher!" — jak ongiś wykrzykiwał podobnie swemu fuehrerowi.

A. T.

Kongres Techników w Katowicach

W początku bieżącego miesiąca obradował w Katowicach ogólnopolski Kongres Techników, w którym wzięli udział prez. K.R.N. ob: Bierut oraz członkowie rządu z min. Przemysłu Mincem na czele, liczni delegaci techników z całej Polski oraz przedstawiciele stowarzyszeń i organizacji technicznych z Czechosłowacji, Francji, Anglii, St. Zjednoczonych, Jugosławii i Węgier z prezesem Międzynarodowej Organizacji Technicznej płk. inż. Antoine na czele. Na przewodniczącego Kongresu wybrano wicemin. inż. Rumińskiego.

Prezydent Bierut wygłosił przemówienie, w którym podkreślił, że „przed ludźmi wiedzy technicznej stoją zadania na miarę historyczną" i wyraził nadzieję, że „Kongres będzie doniosłym czynnikiem przyśpieszającym tempo uprzemysłowienia naszego kraju i podniesienia poziomu naszej techniki".

Ciekawe referaty wygłosili: min. Minc, prezes C.U.P. Bobrowski, min Dąbrowski i wicemin. Rumiński.

Obrady Kongresu będą miały niewątpliwie duży wpływ na wykonanie zakreślonego przez rząd 3-letniego planu odbudowy.

Na zdjęciu: wicemin. Przemysłu inż. Rumiński, przewodniczący Kongresu Techników podczas wygłaszania referatu.

WIZYTA DZIENNIKARZY I LITERATÓW CZECHOSŁOWACKICH

Na Śląsku bawiła wycieczka literatów i dziennikarzy czechosłowackich z wicemin. Propagandy na czele, którzy interesowali się nie tylko prasą polską (jakby wynikało ze zdjęcia), ale i odbudową gospodarczą Polski.

(fot. Nowosielski)







MISTERIA KSIĄŻKOWE

We wrześniu 1939 r. Niemcy, rozkwaterowani w pewnej willi w Milanówku pod Warszawą, zaopiekowali się w swoisty sposób biblioteką właścicieli domostwa.

Ofiarą padła Orzeszkowa spod znaku Akademii. Na jednym z tomów wymalowali rozgrywki preferansowe, prócz tego różne malunki i aktualne noty, niegodne bynajmniej porównania z szacownymi iluminacjami czy glossami średniowiecznymi. Inskrypcje brzmiały: „Modlin ist gefallen“, „Warschau liegt in Trümmern“ „Schluss mit Polen“, „Nun ist Polen doch verloren“, „Was jemals deutsch war, bleibt immer deutsch“ itp. Beznadziejna płaskość niemieckich promemoriów współzawodniczyła z prostactwem obfitych rysuneczków.

Zgadnijcie, co za tom Orzeszkowej stał się przedmiotem upamiętnienia historycznych chwil, przeżywanych przez kulturträgera?

Ni mniej ni więcej, jeno „Cham“!

Warschau und Modlin waren seitdem wieder gefallen; ten „Cham“ winien znaleźć się w muzeum prześladowanej i tępionej książki polskiej.

●

W maju, miesiącu zakochanych, i to w najsmutniejszym, najbardziej przygniatającym i beznadziejnym miesiącu wojny, w okresie pierwszych branek do Oświęcimia — 1940 r. — wstąpił w Warszawie do księgarni klient, który w tak tragicznych dniach ludzkości przeżywał najpiękniejszy poemat swej miłości.

Nie filister, ale czarujący romantyk, naprzekór rozpętanym mocom piekielnym, raniącym i rozdzierającym serca wszystkich nie—Niemców...

Chodził od księgarni do księgarni i szukał książeczki Paula Geraldy‘ego „Ty i ja“ („Toi et moi“ w przekładzie Róży Czekańskiej—Heymanowej).

— Ledwie uniknąłem łapanki, ale ja tę książeczkę muszę znaleźć, bo życzy jej sobie moja narzeczona.

Ofiarowywał wysoką cenę, oświadczał, że ofiaruje złote spinki od mankietów księgarzowi, który mu dopomoże zrealizować marzenie narzeczonej w prekluzyjnym terminie pięciodniowym (ze względu na imieniny Zośki). Trafił wreszcie na księgarza, któremu miłe były nie tylko zwariowany romantyzm i ładne złote spinki, ale który w służbie dla książki lubił niezwykłe dezyderaty klientów i stawał w razie potrzeby na głowie, by zadośćuczynić ich życzeniom. Nie chodziło o nic nadzwyczajnego. O żaden unikat bibliograficzny. Drobiazg, tylko tyle ważny, że klient pragnął go otrzymać w określonym, krótkim terminie.

Gdy tylko uciszył się chwilowo furror teutonicus na ulicach, księgarz wysłał gońca na miasto i polecił mu poszukać książeczki we wszystkich składach księgarskich, za wszelką cenę, w postaci egzemplarza nowego lub antykwarskiego. Lecz posłaniec go nie znalazł. Obszukał blisko setkę księgarni warszawskich na próżno. (Zdarza się tak czasami z najpospolitszą książką, że jak jej gwałtownie komuś potrzeba, to niesposób znaleźć. Kiedyindziej ta sama książka pojawia się prawem serii albo prawem złośliwości rzeczy martwych).

●

W styczniu 1943 r. w Majdanku rozniosła się cichaczem wieść o posiadaniu przez jednego z więźniów miniaturowego wydania „Pana Tadeusza“. Mimo szeptem i tajemniczo podanej wiadomości, przeszło dwadzieścia osób zdołało już zapisać się w kolejce ,kiedym usiłował wziąć udział w czarownym misterium.

Takie właśnie zbłądzenie księgi, o ileż bardziej niezwykłe od cennych chwil obcowania z nią latarnika z noweli Sienkiewicza, miał na myśli w wieszczym przeczuciu autor wielkiego eposu narodowego. Tutaj książka istotnie **zbłądziła.**

Była i to jedna jedyna, w baraku nr 10.

●

W lecie r. 1943 na Montelupich w Krakowie.

Pewien znakomity bibliofil zostaje zwolniony z więzienia po kilku tygodniach cierpień. Kancelaria zwraca wszystkie przedmioty zabrane podczas rewizji osobistej, ale więzień niecierpliwie czeka na przedmiot, z którym został przypadkowo zaaresztowany. Krytycznego dnia spotkało go... niezwykłe szczęście, znalazł, poszukiwane przez dwadzieścia pięć lat, rzadkie dzieło Stroobanta: „Starożytne gmachy Krakowa zdjęte z natury i objaśnione tekstem historycznym“, Kraków 1862 (13 arkuszy tekstu i 13 rycin). Biblioman wierzył w bliskie zwolnienie, ale drżał bez przerwy o losy prześwietnego Stroobanta. Przebóg! czy trzeba będzie szukać go ponownie przez drugie ćwierć wieku?

— Und was wünschen Sie noch mehr?— warknął Niemiec.

— Es fehlt noch ein grosses illustriertes Buch.

— Ein grosses Bilderbuch? Lassen Sie das hier! Solche Sachen sind Ihnen nicht nötig!

Ale niezwykłe żądanie zdziwiło Niemca niepomału. Polak upominający się o monografię starych gmachów krakowskich, zdawał się dlań ewenementem zgoła zabawnym ,tak że zdecydował się ulec i poszukać „dokładniej“ wśród depozytów, zwłaszcza gdy usłyszał stanowcze oświadczenie więźnia, że nie ruszy się poza próg bez książki, będącej jego bezsporną własnością.

— Bezsporną! — Niemiec parsknął śmiechem, ale ubawił się zarazem nadzwyczajnie. Przyniósł wreszcie i oddał więźniowi pokaźne folio.

Któż w Krakowie w świecie plotkujących miłośników książki nie zna tej autentycznej historii, z mniej lub więcej barwnymi dodatkami...

Ledwie szczęśliwiec znalazł się na ulicy, postanowił zastosować specjalne środki ostrożności. Nie dowierzając Niemcom poniósł książkę najpierw do przyjaciela i później dopiero z pieczołowitością przeniósł ją w domowe pielesze.

Ecce amicus libri!

●

Przedziwny gatunek niewolników książki: chodzą od księgarni do księgarni w poszukiwaniu jakiegoś rzadkiego dzieła, o którym wiedzą, że jest wyczerpane; uparcie dopytują się o nie, wymieniając tytuł bez najmniejszej nadziei, żeby go w końcu znaleźć — wybity czarno na białym i zapraszający do kupna egzemplarza za żywą gotówkę.

Z chwilą uwieńczenia gonitwy za książką wynikiem pozytywnym, tracą cel w życiu. Nie kupują jej, ale także więcej nie szukają.

Nie są to wcale maniacy książkowi. Mamy tutaj bowiem do czynienia jednocześnie z jakąś magią książek i rozczarowaniem, następującym po bliższym obejrzeniu upragnionego dzieła, po którym sobie zbyt wiele obiecywano.

●

Księgarnia odgrywa dla wielu cennych gości rolę karczmy. Nie zaszkodziłoby żadnej nowoczesnej firmie księgarskiej połączenie jej z zakładem gastronomicznym. Przeciwnie, taka naturalna fuzja przyczyniłaby się do znacznego wzrostu konsumcji książek. Nie proponuję urządzenia wyszynku alkoholu za kotarą w księgarni, ale gorąco namawiam do postawienia ekspresu z dobrą kawą dla gości czyli do zakładania kawiarni.

●

Podobno najbrzydsza stara książka jest bardziej interesująca... od najpiękniejszej młodej kobiety. A tłumaczenia poetyckie jakoby także przypominają kobiety: zbyt wierne grzeszą brakiem polotu, a zbyt powabne brakiem wierności.

Te dwa zgryźliwe zdania świadczą, że od książek żąda się niekiedy za dużo. Książki przecież nie zawierają żywego serca, pozostaną zawsze martwymi bądź co bądź obiektami, które dopiero stosunek człowieka do nich ożywia. Trzeba samemu mieć serce dla człowieka tak samo jak dla książki i odwrotnie; mieć serce własne i patrzeć w cudze serce!

●

— Mój mąż to **tylko z książką śpi!** — skarżyła się gorzko, zazdrosna o rywalkę, żona, namiętnego bibliofila, mimo że małżonkowie sypiali razem. **Antoni Trepiński**

„PENELOPA“

Morstin nazwał swą sztukę „igraszką intelektualną“, „komedią bardzo współczesną, a zarazem bardzo grecką“. Co to znaczy ? Co autor zamierzał i co osiągnął? Chciał napisać sztukę o wierności czy niewierności małżeńskiej. Zaniepokoił go problem wierności żon, czekających na powrót mężów. Problem najbardziej aktualny, a przecież odwieczny. Czekało tyle żon i jeszcze czeka, czekała i Penelopa na swego Odysa.

Poeta o tej skali kultury artystycznej, co Morstin, wyczuł, że pisać sztukę współczesną na ten temat, znaczyłoby poruszać problem zbyt bliski, zbyt przez swą bliskość delikatny. Więc lepiej przerzucić problem w odległe czasy antyczne. Tym bardziej, że przecież Penelopa stała się z biegiem wieków prawzorem kobiety, wyczekującej przez tyle lat powrotu męża.

Sztuka współczesna wymagałaby akcji dramatycznej, i mniej zostałoby miejsca i czasu na dialogi, stanowiące treść „Penelopy“ i nadające jej wdzięk poezji. Dlatego zapewne nazwał ją autor „igraszką intelektualną“. Trzeba przyznać, że jest to rozkoszna, urocza igraszka.

Widz odczuwa piękno języka w dialogach, ulega czarowi Grecji. W tym klimacie, wśród osłonecznionych gór, problemy zatracają wszelką ostrość i stają się po prostu igraszkami bogów miłości i słońca. Tematem sztuki jest więc wierność Penelopy, poza tym zazdrość, miłość, kult ciała i kult kobiety.

„Najbardziej litości godne ofiary wojny... to my żony opuszczone“, mówi Penelopa. Dużo więc trzeba im wybaczyć, okazać zrozumienia i pobłażliwości. Później, po wybuchach zazdrości, pocieszа Odysa i każe mu uwierzyć w mądrość życiową: „Cokolwiek się działo, ty jesteś zwycięzcą nad sercem moim..., bo prawdą nie jest to, co było, a więc minęło, tylko to, co jest teraz“. Tak mówi Penelopa — Romanówna do Odysa — Kreczmara.



Ludwik Hieronim Morstin

Romanówna wyczuła znakomicie te subtelne właściwości roli: była czarującą kobietą i dostojną królową: żona i kochanka. Wierna czy niewierna? I nikt nie odgadł jej tajemnicy.

Kreczmar jako Odys stanął przed zagadnieniem, co ważniejsze w tej roli: bohater czy człowiek? Trzeba to było powiązać, aby stworzyć jednolity typ o logicznej podstawie. Bo przecież ten legendarny bohater marzy o domu i żonie. I za nic mu w chwili powrotu do rodzinnej Itaki bohaterstwa trojańskie. Kreczmar potrafił z artystycznym umiarem i wyczuciem powiązać w szerokiej skali tej roli wszystkie fazy, przewagą ludzkich odruchów i namiętności „stawiając“ świetnie rolę.

Reżyseria M. Wyrzykowskiego poszła po linii autora: połączenia Grecji ze współczesnością. Utrzymanie tej linii było zadaniem niełatwym, wymagającym umiaru artystycznego i wyczucia klimatu komedii. Udało się to reżyserowi całkowicie. Stworzył spektakl na wysokim poziomie. Dzięki plastycznej oprawie Z. Węgierkowej biła ze sceny radosna grecka słoneczność. Monumentalna architektura nie przytłaczała akcji — przeciwnie, stanowiła dla niej znakomite tło.

Aleksander Guttry.



Scena z III aktu komedii Morstina „Penelopa“ granej z wielkim powodzeniem w Teatrze Polskim w Warszawie. Na zdjęciu: Kreczmar w roli Odysa i Karpińska w roli Melanto.

KRONIKA KULTURALNA

GAŁCZYŃSKIEGO „Wiersze“ ukazały się nakładem firmy p. n. „Oficyna Księgarska“ (Warszawa, Marszałkowska 34). Gruby tom, liczący 350 stron, zawiera — z małymi wyjątkami — cały dorobek poetycki popularnego dziś Karakullambro, poczynając od „Końca świata“, drukowanego niegdyś w „Kwadrydze“, kończąc na wierszach z niemieckiego obozu jeńców i rozgłośnej „Matce Boskiej Stalagów“. Tom zdobią prześliczne ilustracje Jana Knothego, tak samo tajemnicze w rysunku i podniecające, jak wiersze Gałczyńskiego. Wcześniej czy później znajdzie się subtelny krytyk, który rozwiąże zagadki twórczości tego poety. Przed wojną, jak się zdaje, nie umiano sobie z nim poradzić. Albo — jak Zawodziński — widziano w nim żonglera i ekwilibrystę słowa czyli coś w rodzaju mistyfikatora poezji; albo — jak Bolesław Miciński — pisano poetyckie (nie krytyczne) hymny na jego cześć, kończąc je patetyczno-religijnym wezwaniem: „Pochylmy się nad wierszami Gałczyńskiego!“ Zdarzały się także zabawne nieporozumienia. Znany literat — K. L. Koniński — zapytywał zgoła poważnie: „Dlaczego — skumbrie w tomacie pstrąg, a nie naprzykład — szproty w oliwie śledź? Albo — flaki w oleju rum? Albo wreszcie — tuńczyk w oliwie lin? Dlaczego ryby a nie żaby? Co to wszystko ma znaczyć? Bo jeżeli ja pojmuję, powiedzmy, Słowackiego, dlaczego nie miałbym pojąć Gałczyńskiego, jeśli Gałczyński ma coś do powiedzenia?“ Być może najbliższy zrozumieniu i odczuciu Gałczyńskiego był niezapomniany Józef Czechowicz, który w tych słowach „reasumował“ poezje Gałczyńskiego: „Cokolwiek się dzieje w tej poezji szarlatańsko-mieszczańskiej, płynie w niej wspaniała struga maestrii. I kiedy myślę o tym, i o prostocie, grotesce, wysokiej sztuce, uśmiechu, mieszczaństwie, naiwności, alkoholu i diabelstwie (bo to wszystko Gałczyński), jedno mi tylko przychodzi na myśl porównanie, choć i to nie jest bez reszty: Paganini“. Paganini był niezwykłym wirtuozem, a przy tym sama jego osobistość miała w sobie coś demonicznego. Był podobno mistrzem w tzw. tonach podwójnych. Mówiąc językiem potocznym, nie muzycznym, poezja Gałczyńskiego igra wciąż dwoma tonami, na które się składają: wielkie kpiarstwo i najczystsze uczucie. W rezultacie taki oto efekt: „Gulistan — mówi — to ogród róż; w ogrodzie — mówi — strumienie. Róże? na skronie — mówi róże włóż; strumienie — mówi — to cienie. Kto mówi? — mówi — to kilka chwil. Świat — mówi — jak lalka znika. Ach, to nic — mówi — to tylko tryl... Kto mówi? Mówi muzyka“. To jest najczystsza poezja.

SZCZĘŚLIWĄ myśl miała „Księgarnia Polska“ w Łodzi, wydając przed gwiazdką „100 najpiękniejszych bajek“ Lafontaine'a. Układu ich umiejętnie dokonał Kazimierz Paszkowski, wybierając najlepsze przekłady i przeróbki pióra Krasickiego, Kniaźnina, Trembeckiego, Niemcewicza, Mickiewicza — czyli arcymistrzów języka. Wartość wydawnictwa podnoszą reprodukcje 32-ch drzeworytów Gustawa Doré. Bajki Lafontaine‘a, których parabole kryją w sobie odwieczne prawdy życiowe, czytane będą zawsze nie tylko przez młodzież, szukającą w nich zabawy, ale i przez dorosłych — dla ich wciąż żywej aktualności. Oto na przykład bajka, zastosowana do naszych „kłopotów mieszkaniowych“: „Pewna suka, nie wiedząc gdzie podziać szczenięta, z płaczem, jako przystało na troskliwą matkę, póty błagała sukę swą sąsiadkę, aż zacna psina, miłosierdziem zdjęta, własne jej na czas jakiś oddała mieszkanie. Wraca wreszcie. — Ach, cóż się z mymi dziećmi stanie! — jęknęła suka, lejąc łzy obłudy: — Moje potomstwo ledwie, ledwie chodzi. Pozwól mi jeszcze miesiąc; Bóg ci to nagrodzi! — Za miesiąc znów powraca właścicielka budy. Wtem cała psiarnia zajadła, szczerząc zęby i pazury, na swą dobrodziejkę wpadła. — Wypędź mię, jeśli możesz — wrzasnęła chytra suka: — ale ci radzę, pilnuj swojej skóry, bo dziatwa mi podrosła i bronić mię będzie. — Z tej bajki taka wynika nauka: gdy zły domownik w twym domu zasiędzie, dostawszy się tam swymi podstępami, będziesz miał kłopot z sublokatorami“.

RADA TEATRALNA ukonstytuowała się ostatecznie, jak to widać ze sprawozdania w Nr. 5 miesięcznika „Teatr“. Będzie się ona składać z pięciu komisyj: 1) ustrojowo-organizacyjnej i gospodarczej, 2) programowo-repertuarowej, 3) szkolnictwa i naukowo-wydawniczej, 4) do spraw budowy i odbudowy teatrów i 5) komisji teatrów niezawodowych. Na odbytej I sesji Rada Teatralna uchwaliła jedenaście wniosków, z których każdy zaczyna się od słów: „Rada Teatralna prosi“, albo „wyraża życzenie“, albo „zwraca się z prośbą“, albo „zwraca się z apelem“, albo „domaga się“... I tylko w jedenastym wniosku „składa serdeczne podziękowanie ob. ob. ministrom i wiceministrom za poniesione trudy“. Jak wiadomo, Pismo powiada: proście, a będzie wam dane; pukajcie, a będzie wam otworzone. **St. Łatka.**

HISTORIA JEDNEJ PAŁKI

HUMOR DZIENNIKARSKI SPRZED WOJNY JAPOŃSKIEJ

Ilustrował Mieczysław Nesterowicz

Był to rok 1904. Pracowałem w „Kurierze Porannym", którego redakcja zajmowała obszerny lokal pod 3-cim numerem przy ul. Wierzbowej. W sklepie od ulicy o dwu oknach wystawowych mieściła się administracja i kantor pisma, skąd po wewnętrznych schodach wchodziło się do lokalu redakcji. Na tym odcinku ul. Wierzbowej sąsiadującym bezpośrednio z pl. Teatralnym, tym ówczesnym sercem Warszawy o niezwykle ożywionym pulsie, kwitło bujne życie nocne. Publiczność przepełniająca, zwłaszcza w czasie karnawału, teatry, resztę pięknie rozpoczętego wieczoru i nocy kończyła w licznych lokalach gastronomiczno-rozrywkowych na pl. Teatralnym lub jego sąsiedztwie. Sznury dorożek, czekających na wyjście bawiących się gości w restauracjach: Stępkowskiego (gdzie w kilka lat później dr. Arnold Szyfman otworzył słynny kabaret literacki „Momus"), lub Adama (prowadzoną przez b. primabalerinę Czulińską) lub Boqueta (w gmachu teatru) i innych, ciągnęły się przez ul. Wierzbową.

Dorożkarze mieli stałe zatargi nie tylko między sobą, ale również z przedstawicielami porządku publicznego, tj. policjantami i stróżami nocnymi, na tle opłacanych im łapówek. Kłótnie te podsycane, sprzedawaną przez nocnych barmanów dorożkarzom monopolówką kończyły się zazwyczaj bójkami a towarzyszące im krzyki budziły ze snu mieszkańców sąsiednich ulic.

Właśnie na epilog takiej bójki trafiłem pewnej karnawałowej nocy, wychodząc około godziny drugiej z redakcji. Na chodniku widniała kałuża krwi, odcinająca się ciemną plamą od bieli świeżo spadłego śniegu. W środku tej kałuży leżała pałka o postrzępionym końcu. Z przeprowadzonego na miejscu dochodzenia dowiedziałem się, że pobiło się dwóch dorożkarzy, których usiłował pogodzić stróż nocny. Interwencja ta nie miała powodzenia, gdyż pijani dorożkarze, nawet nie wysłuchawszy do końca przemowy nocnego anioła pokoju, zgodnym ruchem odwrócili biczyska i zaczęli okładać po głowie niefortunnego mediatora. W rezultacie stróż nie pozostał dłużny, puścił w ruch swą pałkę i postrzępił ją na łbach swych agresorów. Wreszcie nadszedł stójkowy, który zaprowadził na opatrunek pobitego stróża do pobliskiej apteki. Okrwawioną i postrzępioną pałkę, jako corpus delicti, zabrałem i wróciłem do redakcji. Po napisaniu „na ciepło" soczystej wzmianki o nocnym życiu Warszawy, pałkę umieściłem na szafie i sam bez dalszych przeszkód udałem się do domu.

Nie przeszkadzając nikomu pałka leżała na szafie i narastała kurzem. Tymczasem, jak na krótkometrażowym filmie minęła wojna japońsko-rosyjska. ...Strajk kolejowy... Ukaz konstytucyjny... Wybory do Dumy... Ruch rewolucyjny... Bomby... Krwawiąca środa... Zaczęła się reakcja... Pogromy.

W oktawę Bożego Ciała 1906 r. rozpoczął się pogrom w Białymstoku, gdzie zatrudnieni przy przebudowie węzła kolejowego robotnicy ziemni sprowadzeni z nad Wołgi, pod wpływem czarnosecinnej propagandy rozpoczęli mordowanie Żydów i grabienie ich mieszkań. Do obcych robotników dołączyły się miejscowe męty. Z moich obowiązków redakcyjnych wynikało pisanie o tych tragicznych wypadkach w formie szeregu reportaży a o ich wartości najlepiej świadczy ilość nakładu pisma, który z 40.000 skoczył na 120 tysięcy egzemplarzy.

Praca złączone z tym pisaniem była niezwykle uciążliwa. Były to czasy, kiedy samochód widziało się przeważnie w zagranicznych ilustracjach, a pojawienie się na ulicach Warszawy takiej maszyny budziło niezwykłą sensację i stanowiło temat rozmowy. Poza tym dziennikarz nie mógł wtedy liczyć na żadną pomoc czy to ze strony władz sądowych czy administracyjnych. W rezultacie musiałem jeździć codziennie do Białegostoku, wracać i dawać do druku po kilkaset wierszy własnoręcznie napisanego rękopisu, bo wtedy nie rozpowszechnione jeszcze były maszyny do pisania i nie znano również daktylografek redakcyjnych. Praca ta trwała bez przerwy przez dziesięć dni, bo do Białegostoku zjeżdżały różne komisje śledcze: jak Dumy Państwowej, organizacyj społecznych, lekarzy itd. Urzędowa agencja telegraficzna o całej tej sprawie nic nie podawała. Trzeba było wszystkie wiadomości samemu zdobywać.

Któregoś dnia, podczas mego pobytu w redakcji, przypomniałem kolegom o leżącej na szafie pałce. Nazajutrz pałka znalazła się w oknie wystawowym administracji pisma z dołączonym objaśnieniem: PAŁKA CHULIGANA Z BIAŁEGOSTOKU. Wieść o wystawieniu takiej pałki w oknie redakcyjnym na ul. Wierzbowej rozeszła się lotem błyskawicy po mieście, zwłaszcza po dzielnicach żydowskich, skąd tłumy ludzi przypływały na ul. Wierzbową dla obejrzenia okrwawionej pałki chuligana białostockiego. Napływ ciekawych w godzinach wieczornych był tak wielki, że zatamował ruch uliczny konny pojazdów wiozących widzów na przedstawienie do teatru.

Sprawą tą zainteresował się osobiście oberpolicmajster, którego funkcje zastępczo pełnił pułkownik Bałk. Przyszedł do administracji w otoczeniu całego sztabu i po zabraniu z wystawy pałki wraz z napisem polecił komisarzowi właściwego cyrkułu przeprowadzenie w tej sprawie dochodzenia. W rezultacie dzięki pomysłowi miejscowego rewirowego Szumowskiego dochodzenie policyjne w sprawie pałki chuligana białostockiego stwierdziło, że:

„do lokalu administracji Kuriera Porannego przy ul. Wierzbowej wtargnęło kilku nieznanych młodzieńców, najprawdopodobniej rewolucjonistów, którzy po sterroryzowaniu rewolwerami personelu biurowego zażądali wydania sobie klucza od wystawy okiennej, a otrzymawszy go umieścili na wystawie pałkę wraz z napisem. Po dokonaniu tego i wydaniu rozkazu by nikt nie ważył się wyjąć pałki, nieznajomi spokojnie opuścili sklep i wmieszali się w tłum uliczny".

Ten pomysł rewirowego Szumowskiego uchronił wydawnictwo od dalszej odpowiedzialności wobec władz administracyjnych a pałce nadał charakter autentyczności. Skonfiskowaną pałkę wraz z protokołem odesłano do Petersburga, gdzie miano ją umieścić w muzeum policji, w dziale walki „z kramołą".

Stefan Dunin.

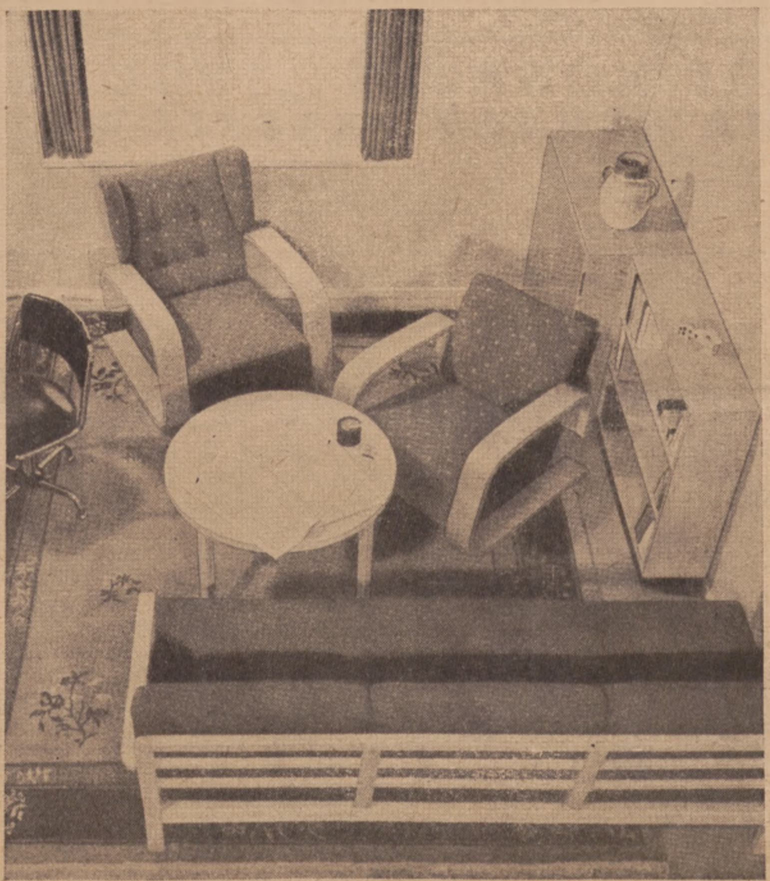


Kłótnie podsycane monopolówką kończyły się bójkami...



Oberpolicmajster przyszedł do administracji w otoczeniu sztabu...

Przytulny kącik



KĄCIK FILATELISTYCZNY

Austria. Ukazała się seria znaczków o obrazach alegorycznych z okazji otwarcia w Wiedniu wystawy pt. „Niemals vergessen!" (Nigdy nie zapomnać). Seria składa się z ośmiu znaczków o wartościach: 5 + 3 gr (seria), 6 + 4 gr (zielononiebieski), 8 + 6 gr (pomarańczowy), 12 + 12 gr (szaroniebieski), 30 + 30 gr (fioletowy), 42 + 42 gr, 1 + 1 sz (ceglasty) 1 2 + 2 sz (ciemnoczerwony).



Seria widoków została uzupełniona wartościami: 80 gr (brunatny) z widokiem Gór Cesarskich w Tyrolu i 90 gr (zielononiebieski) z widokiem Tragoss w Styrii.

Znaczek o nominale 12 gr z serii widokowej został przedrukowany napisem: „Kongres Towarzystwa dla Pogłębienia Stosunków Kulturalnych i Ekonomicznych ze Związkiem Radzieckim (26—29 wrzesień 1946) Wiedeń". Nakład 100.000 szt., przy czym każdy uczestnik kongresu mógł nabyć tylko 4 sztuki.

Podpisanie Karty Narodów Zjednoczonych w San Francisco upamiętniła Austria, przedrukowując znaczek o nominale 30 gr z serii widoków, herbem Narodów Zjednoczonych, datą („26 Juni 1945") i nową wartością („+ 20 gr"). Nakład podobno mały.

(wo).

Reprodukowanych znaczków użyczyło nam Biuro Filatelistyczne T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).

SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 150 ZŁ.

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał Jerzy Płażewski (Łódź, ul. Piotrkowska Nr. 196) za nadesłanie wycinków z „Dziennika Zachodniego“ i „Naprzodu Dolnośląskiego“.

●

JAK SIĘ BAWIĆ, TO SIĘ BAWIĆ.

Dzierzonów pozbawiony jest rozrywek umysłowych. Toteż afisze, zapowiadające przybycie zespołu artystycznego z Łodzi, wzbudziły ciekawość niezwykłą... Ale publiczność w Dzierzonowie jest wrażliwa. Od razu zorientowała się, że ze sceny padają żarty zbyt ordynarne. A gdy w jednym ze skeczów „uzdolniony aktor“, szukając rymu do słowa „twierdzę“, rzucił na salę czasownik „p....“, cierpliwość prysła. Odezwały się głosy oburzenia, niejedni zaczęli gwizdać, wielu opuściło salę... („Dziennik Zachodni“ Nr. 580).

Krótko mówiąc, aktorzy z wielkiego miasta, które o mały włos nie stało się dziś drugą stolicą Polski, dostali nauczkę w takiej dziurze jak Dzierzonów.

●

ZAGADNIENIA SEKSUALNE.

Ktokolwiek żyjesz na kolonii Grabiszyńskiej, żyjesz niby w przedsionku raju... Ulice wyraźnie nieoświetlone... Przy ulicy Odkrywców jest willa... Jest to krynica płodności... Obywatelka G. C. małżonka ob. G. C. oczekuje potomka płci żeńskiej dla (?) pary. Służąca tejże obywatelki oczekuje małego Hitlera, albowiem Niemka jest. A wilczyca wzmiankowanego ob. G. C., kupiona jako autentyk dziewiczy, wzięła i okociła się. Szczenięta cacy. Wszystko to w jednej willi... („Naprzód Dolnośląski Nr. 213).

Należy przypuszczać, że na kolonii Grabiszyńskiej wszyscy się znają. Toteż obywatel G. C. przyłapawszy na nieoświetlonej ulicy autora powyższej notatki, wygarbował mu skórę, a garbując powtarzał: nie okociła się, idioto, nie okociła, wilczyce się nie kocą, tylko się wilczą!

●

JAK I CZY?

P. Tadeusz Różewicz, obiecujący poeta (por. „Sklerozę“ w Nr. 16 „Tygodnia“ pt. „Niepokój“), umieścił w „Szpilkach“ filozoficzne „Myśli bluźniercy“, w których — jednym tchem — wyrzuca z siebie następujące dwa niewspółmierne pytania:

1. Jak Wojciech Bąk wyobraża sobie anioła (jego płeć, wiek)?

2. Czy J. Wyszomirski używa słowa d..a, i jak często?

Ad I: Wojciech Bąk wyobraża sobie anioła ściśle według angelogonii i angelologii ,czyli tych działów religionistyki, o których p. Różewicz nie ma jeszcze pojęcia.

Ad II: Jeżeli chodzi o Jerzego Wyszomirskiego (bo jest jeszcze Józef — reżyser), używał on wzmiankowanego wyrazu po raz pierwszy po przeczytaniu „Myśli bluźniercy“. Częstotliwość użycia zależeć będzie od dalszych produkcyj.



Anegdoty historyczne

5 + 5 = 10.

Znakomity matematyk francuski Henryk Poincarè (1854—1912) był leniwym dzieckiem, aczkolwiek od najmłodszych lat wyróżniał się bystrością matematyczną.

Pewnego razu, gdy nie odrobił lekcji, nauczyciel powiedział do niego ironicznie:

— Ach, tak! Nie napisaliśmy dziś ćwiczenia? Wobec tego będziemy musieli na jutro przepisać tę stronę dziesięć razy.

Nazajutrz mały Henio podał nauczycielowi swój zeszyt.

— Jakto? — zawołał nauczyciel: — przepisałeś tylko pięć razy! Gdzie reszta?

— Panie profesorze — odpowiedział mały matematyk — pan powiedział wyraźnie: „będziemy musieli przepisać dziesięć razy“. Ja odrobiłem swoją połowę. Reszta należy do pana.

W KTÓRĄ STRONĘ POJEDZIEMY?



Mknąc dziś piękną limuzyną z szybkością ponad setkę km na godzinę nie myślimy o tym, że nie tak dawno, bo przed pięćdziesięciu laty, zostały wypuszczone na rynek pierwsze samochody w Stanach Zjednoczonych (1896 r.), które wówczas uważano za cud techniki, a na które dziś patrzymy z pobłażliwym uśmiechem, jak np. na samochód, którym Alex Winten wyruszył w podróż dokoła Stanów Zjednoczonych w 1903 r.

Towarzysze jego, wsiadając do samochodu nie wiedzieli, w którą stronę pojadą, tak był oryginalnie skonstruowany. Szybkość samochodu nie była widocznie wielka, skoro podróż trwała 63 dni (a może za długie były odpoczynki?).

Na zdjęciu: Alex Winten ze swoimi towarzyszami podróży w 1903 r.

(fot. U.S.A.)



Kobiety coraz częściej wypierają mężczyzn z różnych dziedzin życia, wykorzystując swoją przewagę liczbową po ostatnich dwóch wojnach. Do marynarki brytyjskiej zgłosiły się nawet kandydatki do obsługi łodzi podwodnych. Na zdjęciu młoda angielka wkłada strój nurka. Narazie jest uśmiechnięta, niewiadomo czy odważy się na zimną i niebezpieczną kąpiel.

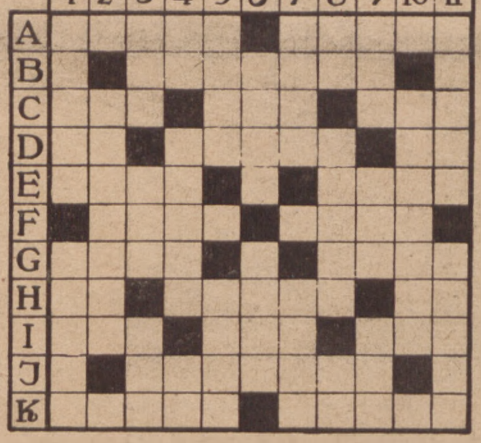
(fot. S.A.P.)

DRUGI KONKURS „TYGODNIA“ NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

KRZYŻÓWKA

Ul. Ludwik Jasiński.

Znaczenie wyrazów: Poziome: A. 1. Instrument muz. A. 7. Koń wierzchowy. B. 3. W muz. niespokojnie, burzliwie. C. 1. Pierwiastek chemiczny. C. 5. Rzeka w Rosji. C. 9. Rzecz niezwykła, dziw. D. 1. Lit. fon. D. 4. Miejsce przed dworcem kol. D. 10. Inaczej ofiaruje. E. 1. Marszałek Jugosławii. E. 8. Gat. śledzia. F. 2. Tama, grobla kamienna, wchodząca w morze. F. 7. Półszlachetny kamień. G. 1. Werniks chiński. G. 8. Szał. H. 1. Wykrzyknik. H. 4. Znany piłkarz polski. H. 10. Egipski bożek słońca. I. 1. Zwierzę domowe. I. 5. Kryształy solne wydobywane z ziemi. I. 9. Termin sportowy. J. 3. Dzieła niewydane. K. 1. Student kończący prawo. K. 7. Część mszy św.



Pionowe: 1. A. Sprzączka, klamra. 1. G. Służący. 2. C. W muz. z ożywieniem. 3. A. Zwierzę kręgowe zimnokrwiste. 3. E. Bieg, obrót rzeczy. 3. I. Strzał, strzelanie. 4. A. Król Bazanu, Amorejczyk. 4. D. Narodowość. 4. J. Przyimek. 5. A. Przypływ i odpływ morza. 5. H. Roślina z rodz. złożonych. 6. B. Opał. 6. G. Sposób chodzenia. 7. A. Część doby. 7. H. Mały ul. 8. A. W muz. pierwszy stopień gamy. 8. D. Ciastko suche z orzechów. 8. J. Zaimek. 9. A. Siła. 9. E. Humorysta polski w. XIX. 9. I. Chińs. południe. 10. C. Audytor. 11. A. Prawo bezdziedziczne w dawnej Polsce.

WARUNKI KONKURSU

W dzisiejszym numerze ogłaszamy II konkurs na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrodę — 2000 zł.
2 nagrody po 1000 zł.
4 nagrody po 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończniu konkursu do dnia 20 stycznia 1947 roku do redakcji „Tygodnia“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.

ROZTARGNIONY PROFESOR PO POWROCIE DO WARSZAWY



Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje 13 — 14 ● Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37, m. 1, tel. 14-906 ● Prenumerata miesięczna 30.— zł ● Konto P.K.O. Łódź VII Nr 4321
Ogłoszenia: cena za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 50.— zł ● Druk: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja Struga 63 ● D. 011453